CZWARTEK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 41 6 KWIETNIA 1978 R CENA 1,50 ZŁ

Sukces polskiego żeglarstwa

Kpt. Krystyna Chojnowska-Liskiewicz zakończyła samotny rejs dookoła świata

Z przyjemnością donosimy, ze nasza rodaczka jest pierwszą kobietą, która dokonała tego wielkiego wyczynu. Tak więc do listy naszych wielkich żeglarzy – Leonida Teligi, Krzysztofa Baranowskiego, Kazimierza Jaworskiego – „Kuby", którzy swoimi żeglarskimi sukcesami wsławili w świecie imię polskiego żeglarstwa, dołączyła żeglarka z Gdańska – kpt. Krystyna Chojnowska-Liskiewicz.

Pani kapitan rozpoczęła swój samotny rejs 28 marca 1976 roku w Las Palmas na Wyspach Kanaryjskich, na jachcie „Mazurek", zbudowanym w Jachtowej Stoczni Gdańskiej im. Conrada. W dniu 21 marca 1978 roku, a więc w bez mała dwa lata od rozpoczęcia rejsu, „Mazurek" zamknął pętlę wokółziemską, pozostawiając za sobą 28 tysięcy mil morskich.

W imieniu naszych Czytelników oraz redakcji gratulujemy kpt. Krystynie wspaniałego sukcesu. Brawo, pani Krystyno!!!

Fot. CAF – J. Uklejewski

GÓRNICY NIE TYLKO FEDRUJĄ

(Inf. wł.) W całym kraju była już niemal wiosenna aura, gdy najlepsi narciarze ze szkół górniczych rozgrywali w Szczyrku swój pierwszy finał Pucharu Górniczego w slalomie gigancie. Poprzedziły go eliminacje szkolne, później w ramach zjednoczeń przemysłu węglowego i dwie eliminacje centralne – w Ustroniu i Szczyrku Salmopolu.

W kategorii dziewcząt pierwsze miejsce zajęła Małgorzata Dąbrowska z Wałbrzycha. Natomiast wśród chłopców, zarówno w eliminacjach, jak i w finale, bezkonkurencyjny okazał się Stanisław Tront z Wodzisławia.

W łącznej klasyfikacji szkół zwyciężyły: ZSZ Dolnośląskiego Przedsiębiorstwa Urządzeń Górniczych (dziewczęta) i ZSG Kopalni „Komuna Paryska" (chłopcy). Wśród zjednoczeń najlepsze okazało się Rybnickie Zjednoczenie Przemysłu Węglowego.

W pełni udała się ta masowa narciarska impreza młodzieży górniczej, która w doskonały sposób uzupełnia tradycyjne już zimowe igrzyska szkół górniczych. **(mt)**

CIECHANÓW (HSI). Uroczyście obchodzili swoje święto – 32-lecie powołania Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej – członkowie organizacji miejsko-gminnej ORMO w Ciechanowie. W odświętnie udekorowanej sali gimnastycznej ZSZ nr 1

INSTRUKTORZY W MILICYJNYCH MUNDURACH

zebrali się ormowcy wraz z rodzicami. Przybyła również grupa funkcjonariuszy MO na czele z komendantem KM MO w Ciechanowie – mjr Zygmuntem Krzywickim. Podczas uroczystości, siedmiu ormowców udekorowano Honorowymi Odznakami Przyjaciół Harcerstwa. Odznaczeni od wielu lat współpracują z ciechanowskimi szkołami. **(aug)**

PROMIENIE PODCZERWONE I LASER PRACUJĄ W BEŁCHATOWIE

BEŁCHATÓW (PAP). Przy budowie Kombinatu Paliwowo-Energetycznego w Zagłębiu Bełchatowskim do pomiarów geodezyjnych używane są nowoczesne urządzenia laserowe. Jednym z nich jest niwelator służący do wyznaczania równych poziomów oraz ustalania wysokości. Wykorzystuje się także laserowy pionownik, niezbędny przy budowie i montażu wysokich konstrukcji. W Bełchatowie wznosi się kominy o 300-metrowej wysokości, wymagające bardzo precyzyjnych pomiarów. Pracują tu także elektromagnetyczne dalmierze, w których pomiarów dokonuje się za pomocą promieniowania podczerwonego. **(jd)**

WROCŁAW (HSI). Do końca maja trwa we Wrocławskiej Chorągwi ZHP im. 2 Armii Wojska Polskiego kampania „Śladami Zwycięzców". Na kampanię składa się wiele zadań i przedsięwzięć. M.in. zuchy zdobywają sprawność „Pancernych" i odwiedzają jednostki wojskowe. Harcerze prowadzą

„ŚLADAMI ZWYCIĘZCÓW"

zbiórki na temat „Wojsko wczoraj i dziś", uczą się piosenek wojskowych. Ponadto zorganizowano konkurs „Co wiesz o 2 Armii WP?" Będą także liczne rajdy, z których najważniejszy wiedzie szlakiem bojowym 2 Armii Wojska Polskiego. **(ap)**

Imię Gimnazjum Macierzy Szkolnej dla szczepu przy TME

GDAŃSK (HSI). W Technikum Mechaniczno-Elektrycznym odbyła się uroczystość nadania szczepowi harcerskiemu imienia Gimnazjum Macierzy Szkolnej. Stowarzyszenie Polska Macierz Szkolna w Gdańsku założone zostało w 1921 roku w celu szerzenia polskiej oświaty. Właśnie wtedy, w budynku dzisiejszego technikum, mieściło się polskie gimnazjum. W uroczystości wzięło udział 7 absolwentów tego gimnazjum, którzy przekazali pierwsze eksponaty do szkolnej Izby Pamięci. **(ap)**

O tym się mówi:

KATASTROFA

Przed kilkunastoma dniami, na przybrzeżnych skałach północno-zachodniej Francji, uległ katastrofie liberyjski tankowiec „Amoco Cadiz" należący do amerykańskiego koncernu naftowego. Ponad 250 tys. ton ropy utworzyło gigantyczne, przesuwające się wolno w kierunku wybrzeży Bretanii i Normandii rozlewisko. Jego drogę znaczą tysiące martwych ryb, ostryg i ptaków. Na 200-kilometrowym pasie wybrzeża ani na chwilę nie ustaje akcja ratownicza. Mieszkańcy Bretanii, wspomagani wojskiem i ochotnikami z głębi kraju ratują przybrzeżną florę i faunę przed całkowitą zagładą. Ustawiają zapory ze słomy i rybackich sieci, przenoszą w najbardziej osłonięte zatoczki hodowlę ostryg, wywożą ciężarówkami w głąb lądu piasek z plaży. Zebrane na brzegu ptactwo morskie przewozi się do naprędce zorganizowanych „klinik", w których specjalnymi roztworami opłukuje się je z brunatnej mazi a następnie leczy antybiotykami i witaminami. Ocenia się, że aby chociaż częściowo oczyścić wybrzeże potrzeba będzie pracy 10 tysięcy ludzi w okresie dwóch miesięcy, natomiast na całkowite przywrócenie dawnej równowagi ekologicznej przyjdzie poczekać lata.

W ostatnich dziesięciu latach wydarzyło się kilkadziesiąt katastrof wielkich zbiornikowców przewożących ładunek liczony w setkach tysięcy ton. Najczęściej są to statki pływające pod tzw. tanimi banderami: liberyjską, panamską czy cypryjską. Zapewniają one armatorom, najczęściej amerykańskim, korzystne warunki podatkowe, nie stawiają rygorów w zakresie norm bezpieczeństwa statków, a załogi rekrutują się z ludzi zupełnie przypadkowych, bo są tańsi i nie mają zbytnich wymagań.

W przypadkach awarii armatorzy skrupulatnie wyliczają co się bardziej opłaca: czy pokrycie kosztów akcji ratowniczej, czy też dopuszczenie do rozbicia statku. Nie licząc się ze skutkami – w imię jak największych zysków decydują się często na to drugie, inkasując wysokie odszkodowanie z towarzystwa ubezpieczeniowego.

Skutków awarii „Amoco Cadiz" największejw historii katastrofy ekologicznej można było uniknąć, gdyby nie zbyt długie pertraktacje między właścicielem statku z Chicago, który nie godził się na zbyt wygórowaną jego zdaniem stawkę za pomoc oferowaną mu przez zachodnioniemieckie towarzystwo „Bugsier". Gdy kontrahenci doszli do porozumienia, na skuteczne działanie było już za późno. Koszty tej beztroski opłaciła przyroda i tysiące Bretończyków, dla których morze stanowi źródło utrzymania. (mj)

ROZSĄDEK MUSI PRZECIEŻ WZIĄĆ GÓRĘ

Każdy z uczestników, rozgrywanych w starożytnej Grecji igrzysk olimpijskich, tuż przed rozpoczęciem zawodów musiał złożyć uroczystą przysięgę, że ust jego nie splamiło dotąd żadne kłamstwo, że w walce o laur nie użyje podstępu ani nie będzie usiłował przekupić rywala. Każdego z przystępujących do zawodów obowiązywał też miesięczny pobyt na przedolimpijskim obozie, gdzie pod okiem specjalnych opiekunów odbywały się przygotowania do igrzysk. Ćwiczenia były jednakowo ciężkie dla wszystkich, wszystkich także obowiązywała identyczna dieta. Grecy zawsze twierdzili że zwycięstwo sportowe ma wartość tylko po walce stoczonej z równorzędnym partnerem, stąd też olimpijczykom stwarzano identyczne warunki do zdobycia kondycji. W tej sytuacji o sukcesie decydowała wyłącznie pilność zawodnika oraz jego wola walki. I właśnie męstwo było najbardziej cenione w starożytnej Helladzie. Wszelkie formy przekupstwa i łamania przysięgi karano publiczną chłostą, usuwaniem ze stadionu, wysoką grzywną. **„Paskudne jest i podłe, jeśli w Olimpii atleta odda wieniec za pieniądze"** – pisał poeta Temistios.

Jednak z biegiem czasu opłacanie zawodników stało się w Grecji przyjętym zwyczajem. Brutalne i krwawe stały się też walki, szczególnie te staczane przez zapaśników i bokserów. Dawny duch szlachetnej rywalizacji powoli zanikał. Nic więc dziwnego, że blakł olimpijski znicz. Zgasł zupełnie w 393 roku. Pełnym światłem zajaśniał dopiero po piętnastu stuleciach. Ale dziś czyhają na niego nowe niebezpieczeństwa.

Sprawa maratończyka z Capri

Londyn, 1908 rok. Trzecie z kolei nowożytne igrzyska. Finał najtrudniejszej olimpijskiej konkurencji – maratonu. Jako pierwszy na stadion wpada maleńki zawodnik z Capri, Pietri Dorando. Ogromne zamieszanie na widowni, Dorando skręca na bieżnię w złym kierunku, zatacza się, po paru krokach pada zemdlony. Ludzie zrywają się z trybun, podnoszą nieszczęśnika, niemal na rękach przeprowadzają przez linię mety. Caprijczyk odzyskuje przytomność dopiero po dwóch dniach; dowiaduje się, że nigdy nie dostanie złotego medalu. Został zdyskwalifikowany za... przyjęcie pomocy przy przekraczaniu mety.

Wydawało się, że sprawa Włocha, Pietri Dorando jest na zawsze zakończona. Niestety, po blisko pięćdziesięciu latach wrócono do niej ponownie. Dzięki testamentowi sędziego głównego pamiętnego biegu, świat dowiedział się, że Caprijczyk zażył na trasie maratonu... narkotyk. Sam Dorando podobno przyznał się, że na kilka kilometrów przed metą łyknął pewną dawkę strychniny i atropiny.

Współcześni amatorzy „koksu"

Tuż po igrzyskach olimpijskich w Rzymie francuski pisarz, laureat nagrody Nobla, Francois Mauriac, nazwał nasz wiek „przedziwnym stuleciem sportu". Trzeba przyznać, że nie był to głos entuzjazmu. Mauriac słusznie zauważył, że na obecnych arenach wyczynu coraz trudniej dostrzec szlachetną rywalizację, wzory hellenistycznego piękna ciała zawodników. Uporczywa pogoń za rekordami – co tu dużo mówić – coraz trudniejszymi do ustanawiania, wypacza przebieg walki, dysharmonizuje sylwetki sportowców.

Pietri Dorando był jednym z pierwszych, którzy skorzystali z dobrodziejstw farmakologii. Ale atropina i strychnina to już swojego rodzaju zabytek. Dziś ubytek sił można regulować bardziej radykalnymi metodami, np. spowodować przyrost mięśni lub w stanie największego wyczerpania spowodować uczucie świeżości...

Nie tak dawno na szwedzkich półkach księgarskich ukazała się praca znanego przed laty zapaśnika – Oskara Svenssona. Dwukrotny mistrz świata i Europy, srebrny medalista meksykańskich igrzysk opisuje w niej sekrety własnych powodzeń. Zawdzięcza je... anabolikom, wstrzykiwanym bezpośrednio do mięśni. Ale po całej serii sukcesów Szweda przyszły klęski i kontuzje. Wreszcie przed olimpiadą w Monachium odmówiły mu posłuszeństwa faszerowane anabolikami komórki mięśniowe. Musiał zerwać ze sportem raz na zawsze. Podobnie kończyli swą karierę inni doskonali zawodnicy. „Koks", który miał zapewnić ich organizmowi dodatkową siłę, stał się zgubny...

Anaboliki, albo inaczej steroidy anaboliczne, to nic innego jak otrzymywane drogą farmakologiczną hormony męskie. Są one stosowane przez medycynę w leczeniu wielu schorzeń. Dzięki swoim właściwościom pozwalają na szybki rozwój mięśni, znalazły więc zastosowanie również w sporcie. Nadmierne i niekontrolowane przez lekarzy ich zażywanie powoduje niszczenie organizmu, szczególnie wątroby. Burzy również równowagę hormonalną. Nawet do tego stopnia, że u kobiet mogą spowodować zmianę płci. Ogromny przyrost masy mięśniowej, jaki dają anaboliki, nie idzie w parze z powiększaniem wydolności ludzkiego szkieletu, a zwłaszcza ścięgien, które pękają wobec wzmożonego wysiłku zawodnika.

Tajna broń współczesnego sportu spotkała się z ostrym potępieniem przez Międzynarodowy Komitet Olimpijski. Na każdych igrzyskach, nawet na każdych zawodach większej rangi, stosuje się kontrole antydopingowe. Ale walka z dopingiem, choć ma ogromne szanse powodzenia, jest niesłychanie trudna.

Złożoność zagadnienia

Sędziowie poszczególnych imprez mają prawo skierować każdego zawodnika na badania antydopingowe w wypadku jakiegokolwiek podejrzenia. I tu dochodzimy do trudnego problemu; ciągle nie jest ustalone, w którym momencie zaczyna się karalny doping, a gdzie kończą zwyczajne zabiegi o psychiczno-fizyczną kondycję sportsmena. Brazylijczycy np. przed niemal każdym startem piją mocną kawę, Francuzi od najmłodszych lat są przyzwyczajeni do spożywania wina, inni jeszcze piją piwo itd. Kawa, alkohole, a nawet papierosy również wpływają na chwilowe podniecenie lub uspokojenie. Tak podchodząc do zagadnienia nawet sztuczne dotlenianie ludzi jest formą dopingu. Jest nim także cukier, wapno, różnego rodzaju pożywki, mieszanki soli mineralnych, a ostatnio przetaczanie do żył zawodników świeżej krwi. Jak więc ocenić te środki? Nie można przecież zabronić kolarzowi łykania cukru czy witamin.

Kilkanaście lat temu MKOl zwrócił się do Międzynarodowej Organizacji Lekarzy Sportowych z prośbą o sporządzenie listy środków dopingujących, które należy zwalczać. I jest taka lista. Opracowano też definicję określającą, co znaczy niedozwolony medykament. W oparciu o te dwa dokumenty rozpoczęto istną krucjatę antydopingową. O ile w Montrealu specjalną kontrolą objęto zaledwie dwustu olimpijczyków, to w Moskwie dotyczyć ona będzie aż ponad tysiąca wylosowanych uczestników igrzysk. Dzięki nowoczesnej aparaturze wyniki badań będą znane po upływie zaledwie kilku godzin, a nie kilku tygodni, jak było dotychczas. Jest więc szansa, że z olimpijskiego ruchu raz na zawsze wyeliminuje się farmakologiczne środki, że zwyciężać będą ci najzdolniejsi i najpracowitsi. Rozsądek musi przecież wziąć górę.

ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI
Fot. **archiwum**

„Mieszczuch" w polu

Stańczyk chodząc z obandażowaną twarzą po krakowskim rynku przekonywająco dowiódł, że wówczas, w XVI wieku, kogo jak kogo ale lekarzy nie brakowało. Każdy przechodzeń doradzał mu niezawodną kurację na jego dolegliwości. Dziś równie łatwo można byłoby się przekonać, że niemal każdy Polak jest niewątpliwym znawcą tajników motoryzacji, a niewielu mniej doskonale orientuje się w skomplikowanej mozaice problemów naszego rolnictwa.

To powszechne zainteresowanie płynie, oczywiście, z aktualności i uwagi z jaką całe społeczeństwo śledzi drogę rozwoju naszej gospodarki żywnościowej. Ale przysłuchując się rozmowom na temat, domowym opiniom i zbawiennym radom szybko można się przekonać, jak w gruncie rzeczy powierzchowne jest to zainteresowanie. Jest to najczęściej punkt widzenia „mieszczucha", patrzącego dość wąsko, dla którego wszystko to co dzieje się na wsi jest proste i łatwe. Trzeba siać, orać i zbierać – nic wielkiego, tyle tylko, że robota ciężka.

Gdy mówi się o fałszu takiego rozumowania, to nie chodzi jedynie o prestiż i uznanie dla trudu rolnika, o satysfakcję jaką ma on ze swojej pracy. Tu chodzi po prostu o zwiększenie produkcji rolnej. Wprawdzie to truizm, ale warto się do niego odwołać raz jeszcze: to już nie te czasy, że oni tam na wsi sobie, a my w miastach sobie i jedynym, co nas łączy, są kupowane w sklepie płody i przetwory rolne. O tym, czy bogate będą nasze stoły, decyduje się i w mieście, a „mieszczuch", choć czasem nie zdaje sobie z tego sprawy, pracuje w fabryce, bez wyrobów której nie sposób byłoby wyprodukować kombajnu, elektrycznej dojarki itp. I ten wpływ miasta, a mówiąc ściślej przemysłu, ośrodków naukowych na wyniki rolnictwa będzie z roku na rok większy. Z miast płynie na wieś ogromny strumień wyrobów, maszyn, różnorodnych artykułów, bez których nie może być nawet mowy o tym, aby ziemia rodziła więcej. Programy rozwoju rolnictwa, zwiększanie plonów i hodowli, nie są więc zadaniem ogólnonarodowym tylko dlatego, że każdy chce jeść, ale także ze względu na to, że wszyscy możemy mieć wpływ na to, jak szybko zmienia się wieś, czy będzie wytwarzać więcej lepszej żywności.

Proces przemian został już zapoczątkowany i na ogół przynosi pomyślne wyniki. Choć tu i ówdzie zdarzają się jeszcze braki i niedociągnięcia. Za mało jest nawozów sztucznych, preparatów chemicznej ochrony roślin, niektórych maszyn. Ale zmiany już są zauważalne. Widać pierwsze efekty miliardów złotych jakie państwo wydało na rolnictwo, na rozbudowę współpracujących z nim zakładów przemysłowych.

Korzystnym i oczekiwanym zmianom towarzyszą i takie, którym chcielibyśmy jak najszybciej zapobiec. Jakże często zdarza się, że w jednym gospodarstwie stodoły są pełne plonów, a już w sąsiednim, i to wcale nie należącym do właściciela w podeszłym wieku, ledwo co zbierają z pola. Podobne różnice istnieją między całymi gminami. I dzieje się tak pomimo, że mamy skuteczne środki, aby nie dopuścić do tak rażących dysproporcji. Albo straty ziemi – rocznie 30 tys. ha – nierzadko bardzo urodzajnej, którą przeznacza się pod budowę fabryk, szlaków komunikacyjnych, osiedli. A przecież można je tak zaprojektować, aby zajęły grunty najmniej wartościowe.

O tym, a także o wielu innych sukcesach i trudnościach naszego rolnictwa mówiło się dużo w ciągu ostatnich kilku tygodni. Poświęcono im plenum Komitetu Centralnego Partii, dyskutowali je posłowie na niedawnym posiedzeniu Sejmu. W obu wypadkach mieliśmy do czynienia z kontrolą wykonania długofalowych zamierzeń rozwoju gospodarki rolnej, poszukiwaniem nowych dróg przyśpieszenia tempa zmian. Obecnie głównym celem jest zwiększenie, po latach nieurodzaju, plonów zbóż i roślin pastewnych; a więc w końcowym efekcie znaczne powiększenie hodowli. To najważniejsze z ważnych zadań dla rolników. Ale o tym, czy dorodny będzie dożynkowy wieniec, zadecydują nie tylko oni, zależy to także od mieszczuchów, którzy co rano wstają do pracy w fabryce.

KRZYSZTOF POTRZEBNICKI

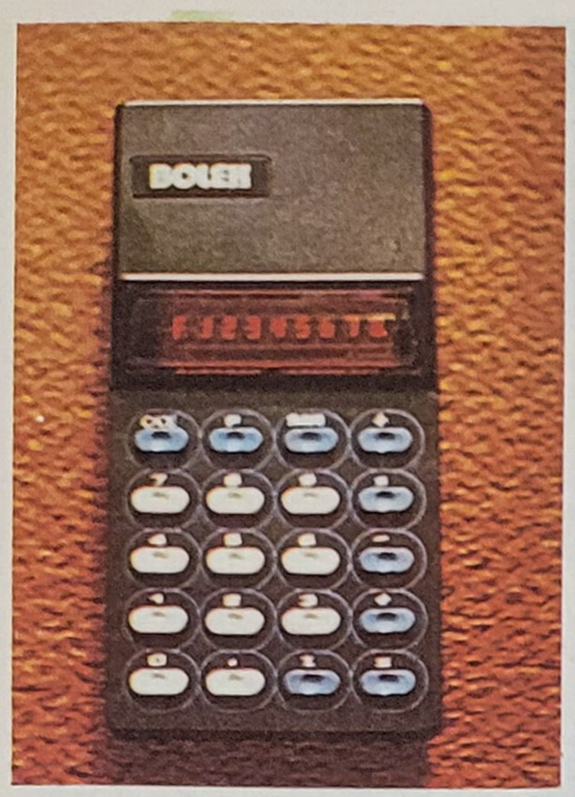

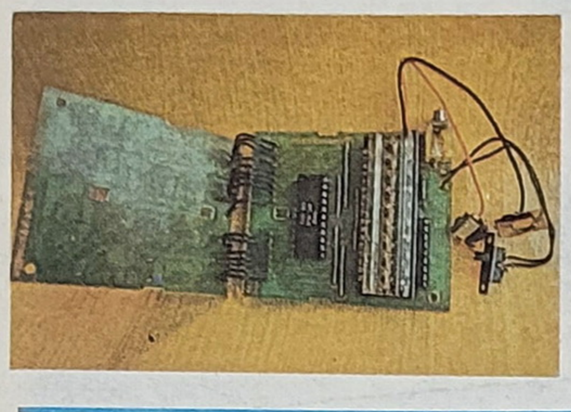

Tak oto prezentuje się z zewnątrz ELWRO 440 czyli „BOLEK", jeden z polskich kalkulatorów elektronicznych, które wkrótce już staną się niezbędnymi pomocami naukowymi – kto wie, może i w szkołach podstawowych.

*

Uprzedzając chęci zajrzenia do wnętrza „BOLKA", szczególnie tych, którzy we wczesnym dzieciństwie patroszyli pluszowe misie i rozkładali na czynniki pierwsze blaszane lokomotywy i samochody – przedstawiamy obok jego widok od środka. Prawdę mówiąc nie ma tam zresztą po co zaglądać, gdyż to, co najciekawsze i najważniejsze – ukryte jest o wiele głębiej.

Technika dokonała w ciągu ostatnich lat niebywałego postępu: budujemy obecnie wielofunkcyjne urządzenia elektroniczne, których bez użycia mikroskopu nie sposób dostrzec...

„Żyjemy w świecie fantastyczniejszym niż świat starych bajek"

Tak zatytułowanym artykułem powitała redakcja „Problemów" pierwszą w świecie maszynę liczącą ENIAC. Było to w roku 1946, a więc zaledwie 32 lata temu. To cudo ówczesnej techniki ma – jak pisano – nie tylko 18 000 lamp radiowych, ale i *„...pół miliona połączeń i 70 000 kondensatorów; zajmuje 9 na 15 metrów powierzchni i waży 30 ton, a jest szczytem precyzji i subtelności. Ma czterdzieści tablic rozdzielczych..."*

Autor artykułu przedstawiał dalej możliwości *„tej niewiarygodnej maszyny"*, mimochodem tylko dodając, iż *„zużywa trzy razy więcej elektryczności, niż największa radiowa stacja nadawcza"*. Ilustracje pokazywały ogromne pomieszczenie gęsto upchane potężnymi urządzeniami, wśród których ledwie widać obsługujących je ludzi.

Takie były początki elektronicznej techniki obliczeniowej. Po dziesięciu latach budowania takich urządzeń, gdzieś koło roku 1957, zastąpiono tradycyjną lampę elektronową tranzystorem. Dało to z miejsca około 25-krotne zmniejszenie rozmiarów oraz ogromne obniżenie zapotrzebowania na energię. Równocześnie trwał proces komplikowania samych układów.

Następny etap – to w zasadzie początek układów scalonych. Od 1965 roku – czyli znów minęło blisko dziesięciolecie – montuje się w jednej obudowie najpierw kilka lub kilkanaście, a potem już wiele setek tranzystorów, oporników, kondensatorów. Nazwa: układ scalony oznacza właśnie taki zestaw gęsto upchanych, odpowiednio połączonych elementów.

Często słyszy się określenia typu: to jest komputer pierwszej generacji, a ów drugiej czy trzeciej. Nazwy te wprowadzono dla poinformowania , z jaką maszyną mamy do czynienia w danym wypadku. I tak: pierwsza generacja – to urządzenia liczące na lampach. Druga – na tranzystorach. Trzecia – na układach scalonych. Te ostatnie również podzielono na klasy: małej, średniej oraz wielkiej skali integracji. Odpowiednio zawierają one – kilka, kilkadziesiąt lub kilkaset elementów na powierzchni jednego milimetra kwadratowego.

A jaki postęp w tej dziedzinie przyniosą lata następne? Trudno przewidzieć, wszak „żyjemy w świecie fantastyczniejszym niż świat starych bajek" i wszystko może się wydarzyć...

Inżynier Jan Salata, kierownik punktu serwisowego ELWRO w Warszawie, podał mi coś niewielkiego, czarnego, z czego wystawały dwadzieścia dwie błyszczące końcówki. Poczułem się wtedy jak ktoś, kto dostał zegarek tylko po to, by dla zabawy rozklepać go młotkiem na placek. Ale, że właśnie w podobnym celu tu przyszedłem, nie wypadało się już wycofywać. Wyjąłem więc scyzoryk i zdając sobie sprawę z niesłychanego barbarzyństwa, jakiego się dopuszczam, rozpocząłem systematycznie rozbebeszać czarną obudowę jednego z mikroukładów „BOLKA".

Każdą końcówkę wydłubywałem bardzo starannie, aby wykryć do czego jest w środku przyłączona. Ale okazało się, że do... niczego! Po prostu – wszystkie kończyły się w pewnym miejscu jak tory kolejowe w Zakopanem i dalej nie było już nic.

– *Nic?* – zdziwił się inżynier. – *Zupełnie nic?*

– No... nic – potwierdziłem niezbyt pewnie.

– *Niech się pan nie zniechęca.*

Więc dłubałem dalej, coraz ostrożniej i wreszcie z samego środka czarnego ogryzka wygrzebałem kawałeczek żółtej blaszki, ot, kwadracik cztery na cztery milimetry.

– To jest to najważniejsze?

– *Nie* – odpowiedział inżynier. – *Na tym było „to najważniejsze", ale zostało zdrapane przy tej całej dłubaninie. A że połączeń z końcówkami gołym okiem dostrzec nie sposób, to wszystkie zwyczajnie pan pourywał.*

Tak to właśnie, niezbyt fortunnie, skończyło się moje pierwsze spotkanie z najbardziej precyzyjną techniką XX wieku, której zadziwiające osiągnięcie chciałem Wam przedstawić na fotografiach.

A jednak sfotografowałem wreszcie układ scalony. Nieco inny, pełniący trochę inne funkcje niż ten, któremu próbowałem zajrzeć do środka, ale za to tak skonstruowany, że można go sobie obejrzeć, bez narażania się na miano barbarzyńcy. Dostałem go – wraz z innymi częściami „BOLKA" – również od inżyniera Salaty.

Wygląda niepozornie, położony na paznokciu przypomina odłamany kawałek jakiejś zabrudzonej sprężynki. Trudno uwierzyć, iż zawiera w sobie od kilku do kilkudziesięciu tysięcy elementów, pełniących funkcje tranzystorów, oporników, kondensatorów itp. Ten kawałeczek krzemu z napylonymi na wierzchu, ledwie widocznymi wzorkami jest – jak dotąd – najbardziej precyzyjną z ludzkich konstrukcji.

Kiedy jeszcze tkwił w środku obudowy, zrobiłem mu zdjęcie w kilkakrotnym powiększeniu, kładąc obok zapałkę dla porównania. W tej skali widać już było złote druciki, za pomocą których komunikuje się ze światem. Stopień jego skomplikowania przewyższa kilkanaście telewizorów razem wziętych, choć wielkością ledwie dorównuje podkładce pod śrubkę, którą przykręcona jest tylna ścianka Waszego „Saturna"...

Do wykonania następnego zdjęcia potrzebny był mi już mikroskop. Spojrzenie na powierzchnię tego skrawka materii w powiększeniu kilkusetkrotnym ujawnia takie bogactwo szczegółów, że ogląda się je jak gdyby tworzyły jakiś miejski krajobraz. Widać niby plac, przy nim dziwaczne budowle, wieżowiec, jakieś pawilony... Jednak powrót z tej fantastycznej krainy jest dość łatwy. Wystarczy zdać sobie sprawę, iż czarny wąż przecinający skośnie fotografię – to włos ludzki. Wyrwałem go z własnej brody, aby znów znaleźć możliwość porównania. A rzekomy pejzaż, to fragment schematu wewnętrznych połączeń mikroukładu. To tutaj, w tej trudnej do prześledzenia plątaninie, przebiegają z szybkością setek tysięcy operacji na sekundę wszystkie działania logiczne i arytmetyczne. Tutaj funkcjonuje pamięć i kontrola podziału czasu. Stąd, poprzez wzmacniacz mocy, płyną miliony poleceń sterujących pracą wskaźników cyfrowych. Przy tym wszystkim, jest to jedno z najbardziej niezawodnych urządzeń elektronicznych, jakie znamy. Praktycznie, może pracować setki lat bez najmniejszych zakłóceń, jeśli tylko nie zostanie zniszczone mechanicznie.

Tekst i zdjęcia:
JERZY DĄBROWSKI

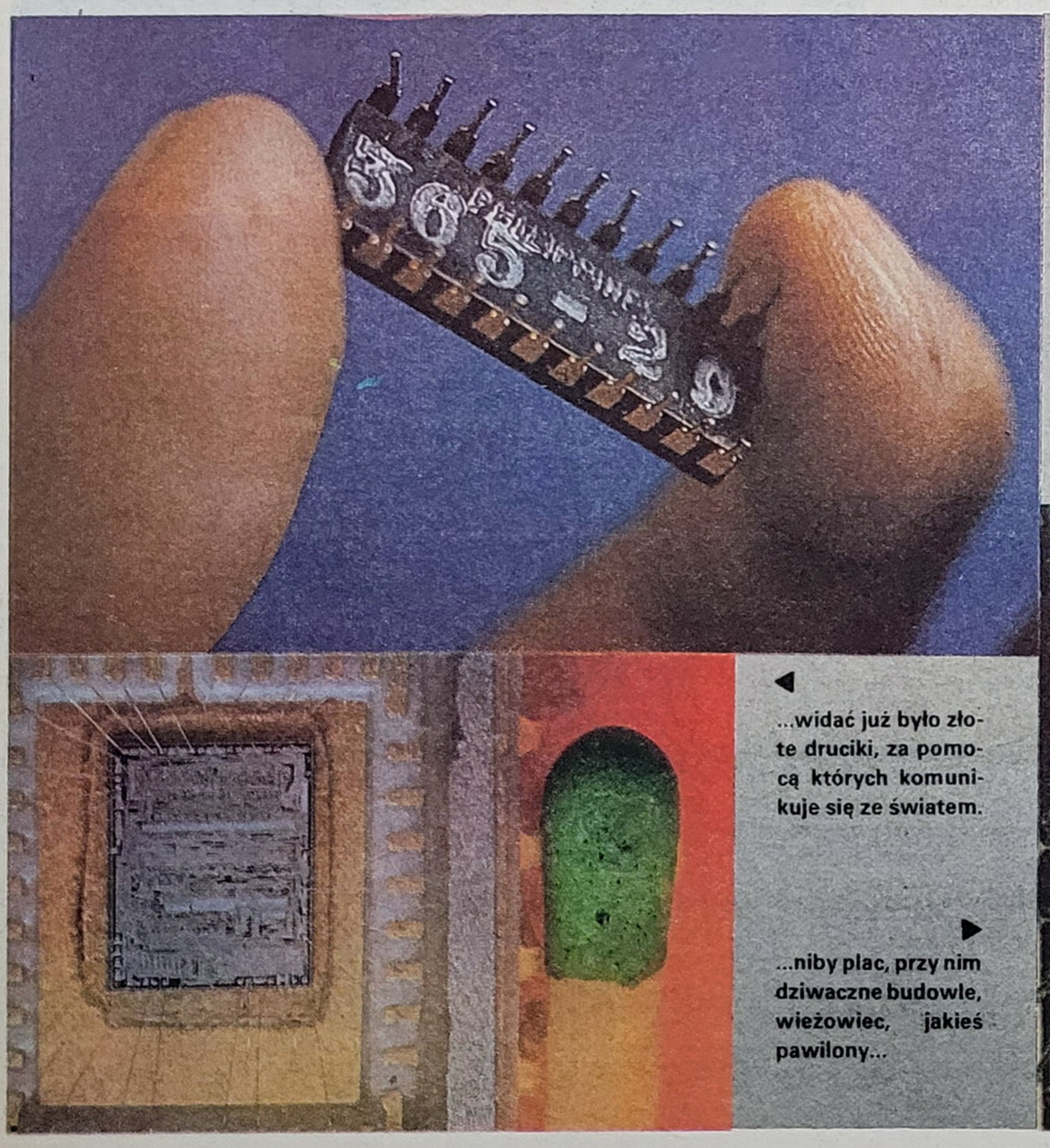

Inżynier Salata podał mi coś niewielkiego, czarnego...

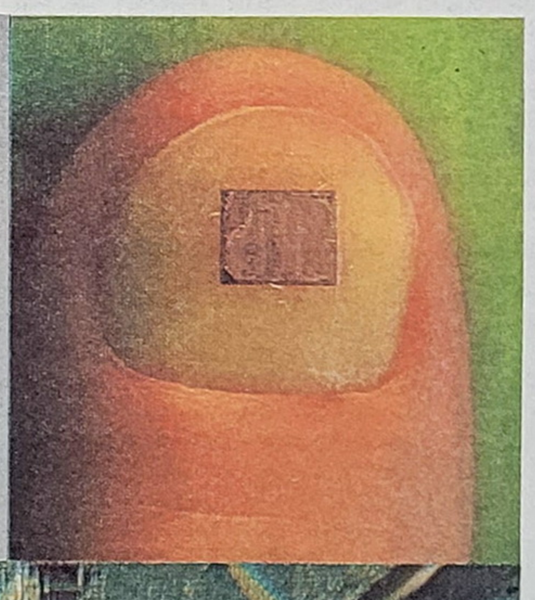

...położony na paznokciu przypomina odłamany kawałek jakiejś zabrudzonej sprężynki.

...widać już było złote druciki, za pomocą których komunikuje się ze światem.

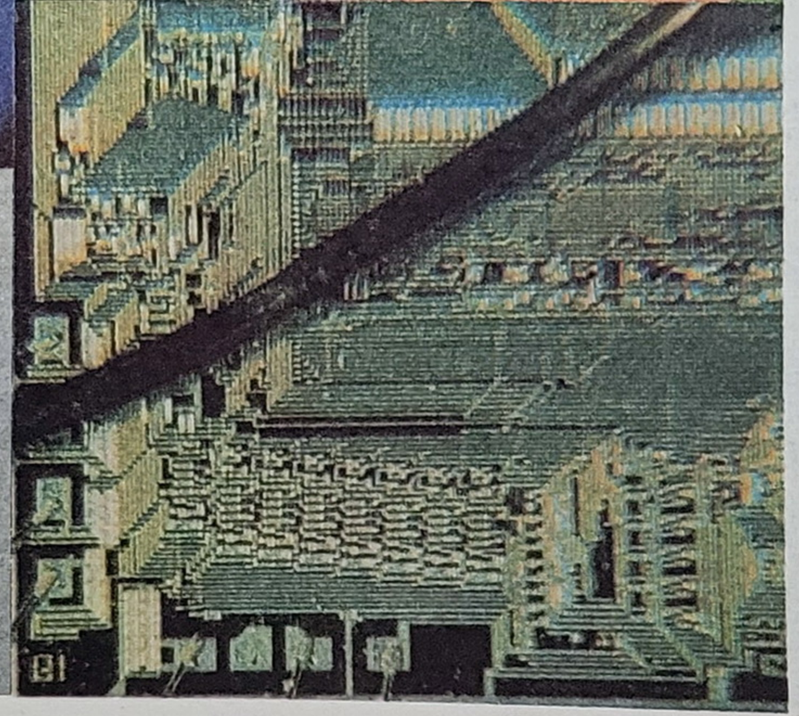

...niby plac, przy nim dziwaczne budowle, wieżowiec, jakieś pawilony...

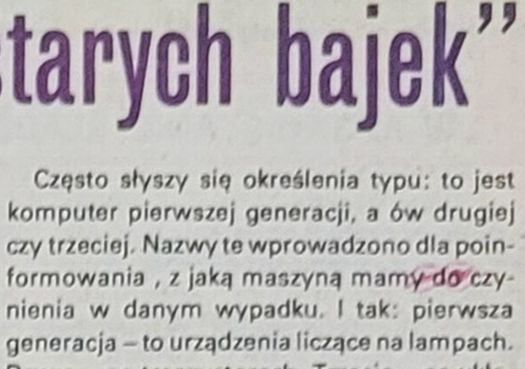

Jakiego rzędu wielkości liczą się tutaj – uwidaczniają te trzy fotografie. Pierwsza przedstawia płytkę wskaźników cyfrowych „BOLKA", dzięki którym widzimy liczby biorące udział w obliczeniach jak również wyniki tych obliczeń.

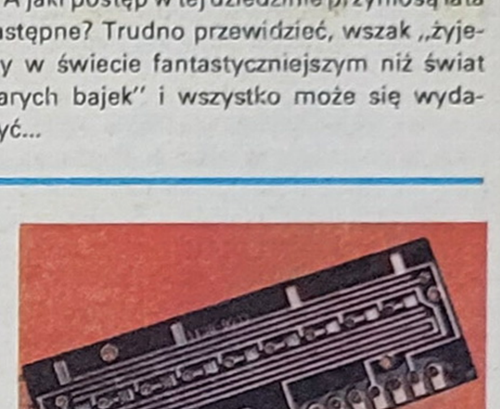

Zdjęcie środkowe – to fragment płytki w kilkunastokrotnym powiększeniu. Przy główce od szpilki, położonej dla porównania – widać poszczególne zespoły fotodiod połączone z układem złotymi drucikami.

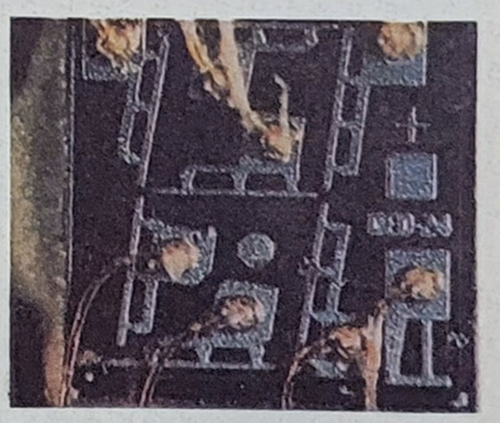

A to jeden tylko wskaźnik, już pod mikroskopem. Fotodiody (elementy świecące pod wpływem przyłożonego do nich napięcia) w liczbie ośmiu zatopione są w przezroczystej obudowie. Każdy taki zespół potrafi w zależności od potrzeb wyświetlić cyfry od „0" do „9". Dzięki szeregowi powiększających soczewek – widoczne są one gołym okiem.

BURU BUCHAJ – RUSZAJ Z BOGIEM!

W AFGANISTANIE ŚLADEM HSUNG TSANGA

– Buru Buchaaaj! – zawołano z dołu, zza tylnej burty samochodu, po czym na metalowej drabince pojawił się czarnowłosy, kilkunastoletni chłopiec, pomocnik kierowcy. Wykonał jedno z wielu swoich zadań: wyciągnął spod kół drewniane kłody, wcześniej sprawdziwszy wzrokiem czy zajęliśmy na wyprawowym bagażu w miarę wygodne, siedzące miejsca. Wydał okrzyk, który przez wiele dni będzie nam towarzyszył.

Buru Buchaj! – powtarzamy szczęśliwi, że to już, że zaczyna się podróż przez ten wielki kraj, pełna niezwykłych zdarzeń i krajobrazów, podróż do Wielkich Gór.

Opuszczamy miasteczko Pol-i-Khumbri, w którym tkwiliśmy przez sześć dni w oczekiwaniu na zezwolenie na wjazd do Wakhanu, gdzie wyrasta z dolin Hindukusz Wysoki. W miasteczku nie tkwiliśmy bezczynnie, wczesnym rankiem wychodziliśmy w góry, aby zaaklimatyzować się w tropikalnym klimacie, a po południu zwiedzaliśmy miasto, aby oswoić się z egzotyką Środkowej Azji. Trudy i niespodzianki dopiero się zaczynały.

Najpierw myślałem, że najwięcej trudów przysporzy mi noc, kiedy sen nie przychodził, a posłanie mimo wcześniejszego polania go wodą, szybko wysychało i stawało się nieznośnie ciepłe. Można by się do tego przyzwyczaić, gdyby nie osły. Poczciwe i bardzo pracowite zwierzęta ryczały najgłośniej nocą; nie wiem czy ze śmiechu, czy też z rozpaczy. Zasnąć przy tym nie sposób.

Wyjeżdżamy z Pol-i-Khumbri w nieuzasadnionym przekonaniu, że skończą się gorące noce, kiedy temperatura, znacznie niższa niż w dzień, spada do plus trzydziestu stopni Celsjusza. Mijamy kolorowe bazary, ostatnie gliniane domki, ostatnie drzewa dające cień. Wjeżdżamy w pustynię, która zaczyna się nagle, tuż za ostatnimi zabudowaniami. Upał przekracza wytrzymałość naszych termometrów rtęciowych, oceniamy więc temperaturę „na czucie" na około pięćdziesiąt stopni.

Sadowię się na galeryjce nad szoferką twarzą do kierunku jazdy i patrzę, choć nie bardzo jest na co. Jednostajny kolor spalonej słońcem gliny i w dali, po obu stronach drogi – ciemnobrązowe, bezwodne, pustynne góry. Zaskoczenie wywołują miejscami pojawiające się pojedyncze lub grupowe, małe gliniane domki, ledwie zauważalne prostopadłościany o kolorze miejscowego gruntu. Mieszkają w nich ludzie. Mimo że w pobliżu brak jakiejkolwiek zieleni i wody. Czym się trudnią, jak żyją – na razie jest dla nas tajemnicą.

Początkowo droga jest dobra, ale po kilku godzinach asfalt urywa się i już nie ma żadnej drogi. Pozostał tylko kierunek jazdy, o którym najlepiej wie nasz kierowca. Wie na pewno, nie szuka drogi, nie kluczy. Samochód porusza się powoli, bo i nie sposób rozwinąć szybkość na bezdrożach.

W Afganistanie nie ma dróg takich, jakie mieszczą się w naszym europejskim rozumieniu. Daleko im do naszych polnych czy leśnych traktów. 2 tysiące kilometrów szos tworzy połączenia tylko z kilkoma

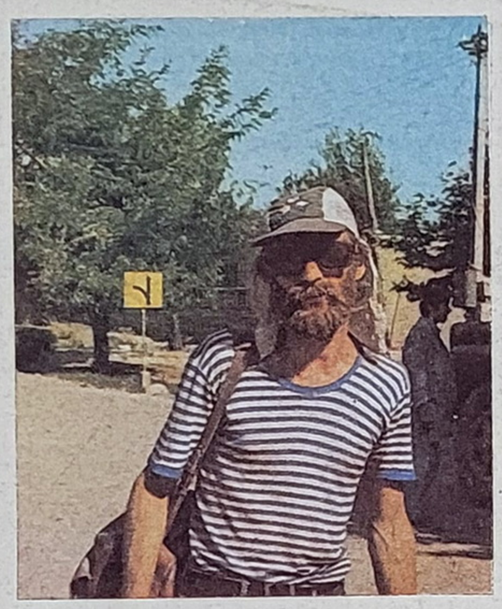

największymi miastami w centralnej części kraju. Nie ma również komunikacji kolejowej, Jest natomiast olbrzymia przestrzeń, po której można podróżować w dowolnym kierunku.

Zastanawiam się jakich środków komunikacji używał wędrujący przez ten kraj pielgrzym chiński – Hsung Tsang? Przed trzynastoma wiekami nie tylko przemierzył ten kraj, ale go jeszcze dość dokładnie opisał. W swoich zapiskach podał, że kraj był bogaty. Skąd pochodzi ta ocena: z wizyt u kilku możnowładców? Rozglądam się po afgańskiej pustyni, która stanowi 90% powierzchni tego kraju i nigdzie nie dostrzegam bogactwa. Jedyne bogactwo, jakie posiadają ludzie mieszkający na pustyni to cień ich wylepionego z gliny domku. Olbrzymią majętnością jest posiadanie własnej studni lub położenie domku w niewielkiej odległości od rzeki.

Dalej pisze Hsung Tsang o rozwiniętym handlu i buddyjskiej religii. Coś się tu nie zgadza. Handel co prawda istnieje, typowy dla krajów Wschodu, polegający na tym, że wszystko tu można sprzedać, ale im bardziej w głąb Afganistanu, tym mniej można kupić. Asortyment towarów kurczy się i pozostają jako pewne, do nabycia wszędzie: koń, wielbłąd, osioł, herbata i kobieta – pod warunkiem, że kupuje się ją za żonę. Ceny są bardzo wygórowane, dla większości Afgańczyków nieosiągalne.

No i trzecia wątpliwość to religia. Afganistan jest krajem mahometańskim, co oznacza, że wszyscy obywatele tego państwa poddani są woli jedynego Boga – Allacha. Religia buddyjska, wywodząca się z odległych Indii, tolerowana jest jedynie w Nuristanie, małej krainie wysokogórskiej, leżącej na wschodzie Afganistanu. Ostała się, bo ukryta była w wysokich górach. I tu tkwi wyjaśnienie wątpliwości.

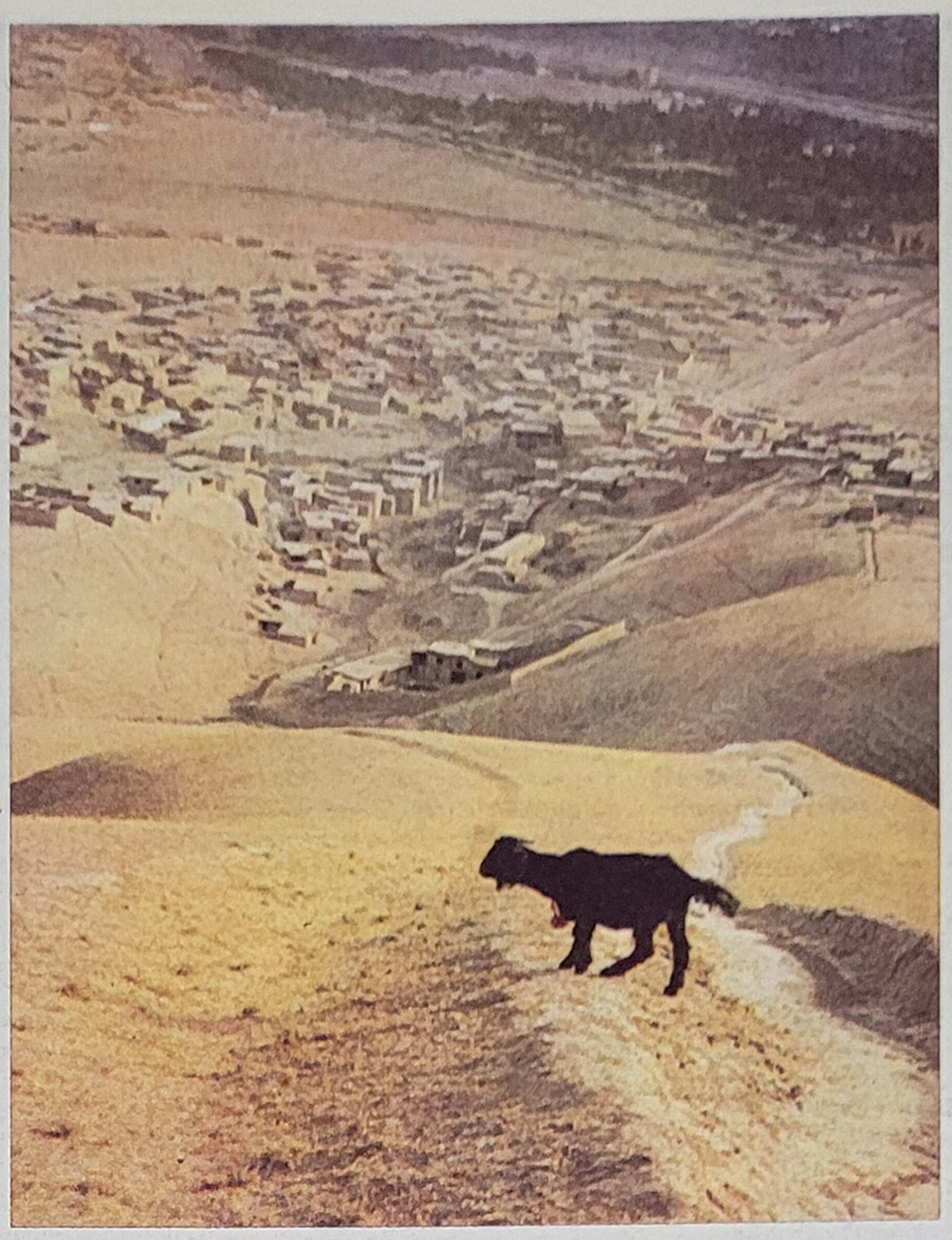

W ciągu trzynastu wieków dzielących podróż Hsung Tsanga, a moją podróżą przez Afganistan, przez kraj ten przeszło wiele kataklizmów dziejowych. Już w VIII wieku dotarli tu Arabowie podbijający w imię Allacha coraz to nowe krainy. Nawracali lub wycinali w pień. Potem kilka wieków wojen i waśni międzyplemiennych lub też Świętych Wojen (al-dżihad) z innowiercami. I wreszcie największe nieszczęście Chorosanu jak zwał się wówczas Afganistan – Kraju Wschodzącego Słońca – najazd hord mongolskich Dżyngis-Chana w 1221 roku. Kraj został całkowicie zniszczony, spalone miasta, zniszczone kanały nawadniające pola, wybita ludność. Być może wtedy właśnie zaczynała się tutaj pustynia i zniszczone zostały wszelkie kulturowe i materialne dobra tego kraju.

Jadę poprzez wielki kraj w stronę zaśnieżonych, wysokich gór, przez kraj o niezwykłej, dramatycznej historii, poprzez pustynię, która zakryła starannie przeszłość. Ludzie, których spotykam, nie są potomkami Chorosańczyków. Ich praojcowie przybyli tu z krajów arabskich, podczas najazdów tureckich, wojen perskich, z Tybetu, a nawet z Aleksandrem Macedońskim. Przemieszały się narody i rasy. Powstaje nowy naród, wiąże się i rodzi jakby na naszych oczach. Ale żal tamtych, rodowitych Chorosańczyków. Jacy byli? Jakim mówili językiem? Jak wyglądali? Nie dowiemy się nigdy.

Nawet jeżeli przygody i spotkania Hsung Tsanga były niezwykłe i trochę żal, że nie zobaczymy tamtych czasów, podróż do Afganistanu jest podróżą wehikułem czasu. Dowiadujemy się, że jest tam rok 1356. Według kalendarza mahometańskiego to prawda i mogę śmiało zapewnić, że przeżyłem spotkanie z Afganistanem z czternastego wieku. Zawsze to coś!

Tekst i zdjęcia:
ZBIGNIEW TURKIEWICZ

▲ *Gliniane domki nie odróżniają się kolorem od gruntu*

◀ *Reklamowa czapeczka „Świata Młodych" wytrzymała wszystkie trudy wyprawy dobrze chroniąc autora korespondencji przed żarem afgańskiego słońca*

▶ *W nagrodę za pozowanie do zdjęcia obu spotkanym w dalekim miasteczku chłopakom przypiąłem znaczki „Świata Młodych"*

Członkowie Ligi Reporterów! Przeczytajcie koniecznie!

CZĘŚĆ PIERWSZA

W kilka dni po ukazaniu się w Lidze Reporterów „Nie przyjmę cię, bo jesteś z miasta" – zadzwonił do nas Staszek, autor korespondencji:

– Muszę do piątku napisać sprostowanie! Termin wyznaczył dyrektor szkoły.

– Dlaczego? Czy to, co napisałeś było nieprawdą?

– Nie, ale...

Pojechałam do Rzeszowa, sądząc, że muszę wziąć w obronę ucznia, który krytykując własne podwórko podpadł dyrekcji. Dla przypomnienia: Staszek opisał swój pobyt w szkolnym gabinecie lekarskim, z którego po badaniu, lekarka nie kończąc wypisywania już zaczętej recepty skierowała go do przychodni rejonowej, bo dowiedziała się, że jest z miasta.

Na miejscu okazało się, że sprawa jest bardzo skomplikowana, a Staszek niezupełnie zasługuje na obronę.

Dyrektor szkoły: Wiedzieliśmy, że Gazda pisze. Gdy na początku roku napisało grupie poetyckiej, wraz z moją zastępczynią ustaliliśmy – jeśli piszesz o naszej szkole, daj nam to przed opublikowaniem do przeczytania. Jako uczeń może nie znać wszystkich faktów i podać nieprawdziwe informacje. Dlaczego nie przyszedł do nas tym razem?

Zastępca dyrektora: Gazda nie wiedział o zarządzeniu ministra zdrowia, że lekarz szkolny ma się zajmować tylko profilaktyką, a leczenie nie należy do jego obowiązków!

– Czy pani je zna? – pytam.

– Nie, ale tak nam powiedział dyrektor ZOZ. Poza tym pani K. nie jest etatowym lekarzem higieny szkolnej. Ma u nas tylko 7 godzin tygodniowo, o tym Gazda również nie napisał.

W szkole jest 760 uczniów liceum dziennego, 80 z nich jest spoza Rzeszowa. Tylko oni są uprawnieni do leczenia przez szkolnego lekarza. 80 osób – dużo to czy mało? W oczach pozostałych uczniów, którzy stracili prawo do leczenia i muszą chodzić do przychodni rejonowych – na pewno garstka. A dla lekarza, który w ciągu 7 godzin w tygodniu ma badać wszystkich uczniów, od czasu do czasu szczepić i udzielać pomocy w nagłych przypadkach?

Staszek w swojej korespondencji stwierdził, że szkolna lekarka nie robi prawie nic – dyżur jej upływa na rozmowach z higienistką, bibliotekarką i innymi osobami.

Prawda czy nie? Trudno dokładnie stwierdzić. Koledzy Staszka również podawali przykłady nie najlepszego funkcjonowania szkolnego gabinetu lekarskiego.

Staszek często tam przebywał. Swoje półroczne obserwacje przedstawił jako jedną historię, która wydarzyła się jednego dnia. Trochę wszystko ubarwił, tak by podkreślić paradoksalność sytuacji.

Jak na wprawnego krytyka przystało, Staszek wie na przykład, że dobrze brzmi „niedbałe, lekarskie pismo". Szkopuł w tym, że akurat lekarka K. ma bardzo ładny charakter pisma. To drobiazg, ale takimi drobiazgami usiany jest cały artykuł.

No i najważniejsze – opis sytuacji, kiedy to lekarz bada, zaczyna wypisywać receptę i... nie kończąc, odsyła delikwenta, gdy dowiaduje się, że jest on z miasta.

Lekarka szkolna twierdzi, że nic takiego się nie wydarzyło. Staszek jako miejscowy mógł najwyżej mieć zmierzoną temperaturę i następnie zostać odesłany do przychodni rejonowej.

Komu wierzyć? Lekarce czy Staszkowi, który ma skłonności do koloryzowania? Do tych „drobnych" nieścisłości przyznał się sam w rozmowie ze mną.

Staszek: Kto tylko przeczytał w szkole „ŚM" – mówił do mnie: „Stary, masz rację. Mnie się też tak zdarzyło!" Wszyscy mi gratulowali.

W czwartek dyrektor wezwał mnie do siebie, usłyszałem, że nie powinieniem pluć we własne gniazdo. Drugi raz zostałem wezwany w poniedziałek. Dyrektor powiedział, żebym napisał artykuł wyjaśniający i przeprosił lekarza. Uważam, że mam rację. Z tego, co widziałem wiem, że lekarz nic nie robi. Nie, nic mi nie zarzucali, prosili tylko. Ale była to presja. Postanowiłem w wyjaśnieniu napisać, że człowiek jest omylny, że nie wiedziałem o przepisach, a napisanie artykułu było spowodowane zdenerwowaniem. Ale również sta-

PIERWSZA

EKRAN ŚM

AKCJA POD ARSENAŁEM

Wychodziłam z sali kinowej wzruszona. Wokół twarze innych, poważne, przejęte. Przypomniał mi się wiersz Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, szkolnego kolegi bohaterów wydarzeń będących tematem filmu. Może dlatego, że jego poezja najpełniej wyraża marzenia, ideały, rozterki – życie pokolenia, które w dorosłość wprowadzała wojna.

„Nas nauczono. Nie ma litości
Po nocach śni się brat, który zginął,
któremu oczy żywcem wykłuto,
któremu kości kijem złamano
(...)
Nas nauczono. Nie ma miłości.
Jakże nam jeszcze uciekać w mrok...”

Słynna akcja Szarych Szeregów pod Arsenałem. Pierwsza zbrojna akcja wymierzona przeciw gestapo na terenie okupowanej Warszawy. Przeprowadziło ją 28 chłopców, starszych harcerzy z Grup Szturmowych. Dzięki nim skatowany kolega, przyjaciel, harcerz umarł wśród swoich, po ludzku. Książki, wg których nakręcono film – **„Kamienie na szaniec” Aleksandra Kamińskiego i „Akcja pod Arsenałem” Stanisława Broniewskiego** – to jedynie zapis maleńkiego skrawka historii, losy grupki ludzi.

Ale książki te prezentują postawę tej części młodzieży, która za swój patriotyczny obowiązek uznała bezkompromisową walkę z okupantem.

Słuchałam, jak widzowie powściągliwie dzielą się wrażeniami. Nikt nie zastanawiał się nad walorami filmowymi „Akcji pod Arsenałem”. Wszyscy mówili o bohaterach, o maturzystach z trzydziestego dziewiątego. O pokoleniu Baczyńskiego.

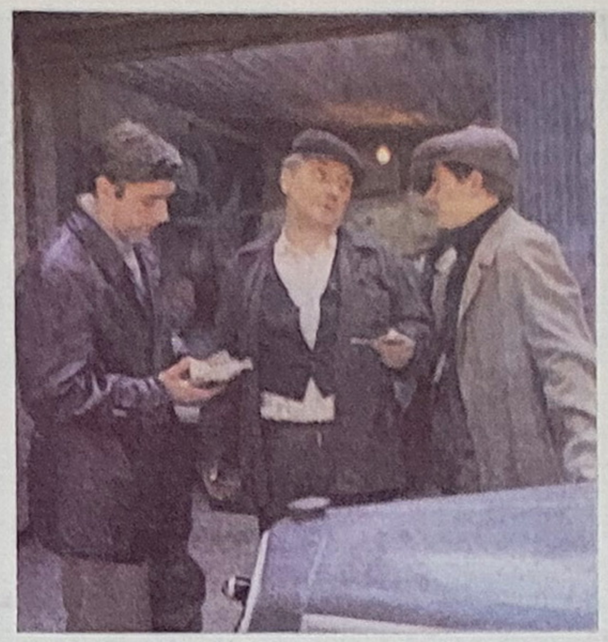

▲

Pierwszy samochód zakupiony został za znaczną jak na zasoby oddziału i z mozołem uzbieraną sumę pieniędzy na parę godzin przed akcją pod Arsenałem. Natomiast 8 maja, czyli niespełna w półtora miesiąca później, wyjeżdżała już przeznaczona do kolejnej akcji część oddziału na czterech zdobytych samochodach – wspomina Stanisław Broniewski (Orsza), dowódca akcji, Komendant Chorągwi Warszawskiej w latach 1941–43. Na zdjęciu scena dobijania targu o samochód

Czego ich nauczono? Męstwa, lecz nie tylko. Pierwsze pokolenie wolnej Polski wychowane było z troską, starannie. To oni mieli budować i tworzyć dla ojczyzny, a musieli jej bronić, dla niej zabijać. Kiedy „Rudy” rozmawia w filmie z ojcem pełnym niepokoju o życie i bezpieczeństwo chłopców, wie jakimi odpowiedzieć mu argumentami. Jednoznacznie rozumie swoją rolę i odpowiedzialność wobec ojczyzny. Droga musiała być tylko jedna, nie było miejsca na czekanie i kompromisy.

„Wyuczyli cię, syneczku, ziemi twej na pamięć
gdyś jej ścieżki powycinał żelaznymi łzami.
(...)
I wyszedłeś, jasny synku, z czarną bronią w noc,
i poczułeś jak się jeży w dźwięku minut zło.”

Twarze bohaterów. Szczupły, delikatny chłopiec o ciemnej czuprynie – to „Zośka” – Tadek Zawadzki. Ostatnie, czarno-białe kadry filmu pokazują go już innym – jakby coś w nim stężało. 6 maja 1943 roku ginie z wyroku Sądu Podziemnego Schultz – funkcjonariusz gestapo, 22 maja tegoż roku obersturmführer Lange.

„Tacy byli żołnierze, którzy bez mundurów,
w cywilnych czapkach z bronią zza pasa wydartą
stali u serca ziemi jak burzliwe chmury
*przeciw wierze bezsilnej i miłości martwej.”**

A „Rudy”; myślące oczy, szeroki szczery uśmiech. „Z ogromnym przejęciem, z sobie tylko właściwym skoncentrowaniem myśli i entuzjazmem podawał nam swoją metodę pracy w Grupach Szturmowych. Jego własne osiągnięcia na polu samodoskonalenia się i samokształcenia były naprawdę duże. W ostatnich dniach z radością mówił, że dni jego nie mają już godzin zmarnowanych. Z zapałem czytał książki (Znaniecki, Pigoń, „Dzieje Anglii”, Szczepanowski), uczył się angielskiego z uporem maniaka” – to wspomnienia o Janku Bytnarze, jego najbliższego przyjaciela – „Zośki”.

Pracować nad własnym charakterem. Wpajała im to szkoła, dom, harcerstwo. Można mieć trochę żalu do reżysera filmu – Jana Łomnickiego, że zbyt go zafascynowała sensacyjność samej akcji, ze szkodą dla pokazania atmosfery wychowawczej, klimatu tamtych czasów. Zabrakło podkreślenia roli zasad w życiu dawnych harcerzy, bezwzględnie przestrzeganych. I dlatego, kiedy zmaltretowany „Rudy” mówi: „Harcerz nie pali” – dla jego dzisiejszych rówieśników, brzmi to dziwacznie. Dziś młodzież traktuje to jak błahostkę, dla nich nie ma znaczenia fakt wypalenia czy niewypalenia papierosa.

„Tym się chyba różnimy od nich – powiedział Marek N. uczeń technikum, z którym rozmawiałam po filmie – my robimy chyba mniej dla siebie, za mało... po harcersku mówiąc, ćwiczymy sprawności, które się nam w życiu przydają, dają realną korzyść, ale nie umiem powiedzieć, czy one by nam ułatwiały w takiej sytuacji jak wojna wybór drogi. Czy umielibyśmy tak walczyć i po prostu ginąć. Ale ja tamtych harcerzy rozumiem i jeśli można, chciałbym podziękować panu Łomnickiemu za ten film”.

Pierwszy film o Szarych Szeregach spełnia swoje zadanie już choćby dzięki temu, że przypomina wydarzenia sprzed 35 lat, zmusza do zastanowienia nad wartościami moralnymi w życiu, prawdziwym znaczeniem słów wytartych może w sloganowych sformułowaniach, słów takich jak: obowiązek, męstwo, solidarność, wierność ojczyźnie.

EWA BIELSKA

Fot. **Roman Sumik**

*) cytaty z wierszy K.K. Baczyńskiego: „Pokolenie”, „Wybór”, „Elegia o... (chłopcu polskim)”.

Jedna z udanych akcji Małego Sabotażu – rozbicie kinowozu ulicznego wyświetlającego niemiecką kronikę „Wochenschau”

REDAKCYJNA POCZTA

Czy jestem skarżypytą...

Na początku roku szkolnego Pani od języka polskiego wybrała mnie na asystentkę. Swoje obowiązki wypełniałam dobrze. Lecz pewnego dnia większa część klasy nie odrobiła zadania. Pani wszystkim tym osobom postawiła oceny niedostateczne. Od tego czasu ja muszę przed lekcją sprawdzać zadania. Ci, którzy nie odrobili lekcji otrzymują ocenę niepozytywną. Jeśli ich pani nie zgłoszę to dwójkę dostaję ja. Najgorsze jest to, że nie wiem czy skarżąc jestem w porządku wobec klasy. Jak jest w innych szkołach, jak radzą sobie moi rówieśnicy w podobnych sytuacjach? **Iza**

Tajemnica korespondencji

Grażyna pisze w 30 nr „ŚM”, że rodzice jej ufają dlatego ponieważ czyta im listy, które otrzymuje. Tak ja to przynajmniej zrozumiałem. Wiem, że tajemnica korespondencji nie zawsze jest przestrzegana przez rodziców. Ale u mnie jest tak: przeważnie przychodzę ze szkoły i list do mnie leży na moim biurku, otwieram, czytam i odkładam go do szufladki gdzie nikt nie zagląda. Wszystkie listy zachowuję i mam już ich sporo. Cieszę się, że tak właśnie jest. **Marek**

Brak nam materiałów

Jesteśmy uczennicami Zbiorczej Szkoły Gminnej w Kruklankch. W tym roku powstały w naszej szkole drużyny o tematyce sanitarnej, pożarniczej itd. Należymy do harcerskiej drużyny pożarniczej, a patronką jest Ludwika Wawrzyńska, lecz cóż z tego, kiedy niewiele wiemy o naszej bohaterce a encyklopedia nam nie wystarcza. Nie mamy również fotografii. Dlatego też, pragnęłybyśmy nawiązać kontakt ze szkołami i drużynami, których patronem jest – Ludwika Wawrzyńska.

Harcerki ze Zbiorczej Szkoły Gminnej, 11-612 Kruklanki woj. Suwałki.

Pomóżcie!!!

Mam 16 lat i chodzę do LE, do I klasy. We wcześniejszym wieku i trochę później nie myślałam o miłości, aż tu... bomba. Pierwsze trzy miesiące nic sobie z tego nie robiłam, aż raz na „andrzejkach” zatańczył ze mną. Pomyślicie „ot szczenięca miłość”, lecz dla mnie nie. Od pamiętnych „andrzejek” nie zamieniłam z nim słowa. Moja wada to nieśmiałość jak u wielu innych nastolatków toteż pierwsza się do niego nie odezwę. Czekam, aż on się pierwszy zdobędzie na odwagę. Po jego twarzy widzę, że też śmiały nie jest. Obserwowałam go długo i wywnioskowałam, że gdy przechodzę obok niego, chłopak się czerwieni i spuszcza głowę patrząc spod oka. Jak zareagować? **Jagoda**

OD REDAKCJI: Zatrzymać się na moment i powiedzieć: cześć co słychać, albo coś w tym rodzaju. I tak za każdym razem. Chłopak, jeżeli mu również zależy, w końcu się przełamie. Napisz czy nasza rada poskutkowała.

(wm)

WIĘKSZA RZECZ

rałbym się przekonać dyrektora, że nasza lekarka źle gospodaruje czasem.

Lekarka z higienistką strasznie na mnie nakrzyczały, że uraziłem ich godność osobistą i zawodową. Dotychczas pisałem krótkie informacje, przeważnie pozytywne. Tak sobie głupio myślałem, że jeżeli to ma być krytyka, to lepiej, żeby była niespodzianką. Dlatego nie poszedłem z tym do dyrektora. To miała być pierwsza większa rzecz. Może za ostro potraktowałem lekarkę? Czy to, co zrobiłem, nie zaważy na mojej reputacji w „Świecie Młodych”? Byłoby mi szkoda...

Staszek jest wyraźnie zdenerwowany. Czeka go spotkanie z dyrektorem i kolejne wyjaśnienia.

Dyrektor wraz z zastępcą jeszcze raz analizują tekst, stawiają zarzuty.

– Na jakiej podstawie stwierdziłeś, że lekarz nic nie robi? Czy znasz zakres obowiązków?

– Chciałbym usłyszeć – bąka Staszek.

– Rozliczasz lekarza z obowiązków, a sam nie przestrzegasz Kodeksu Ucznia. W § 1 jest powiedziane: „Uczeń ma prawo zgłaszać władzom szkoły (...) uwagi, wnioski i postulaty dotyczące wszystkich spraw uczniów oraz być poinformowany o sposobie ich załatwienia”.

Staszek gubi się coraz bardziej i plącze. I tak niepostrzeżenie umyka meritum sprawy. Przez „drobiazgi”, które kwestionuje dyrektor nie widać już problemu: lekarski gabinet szkolny dla wszystkich, czy tylko dla zamiejscowych. Chyba Staszek chwytając za pióro chciał właśnie o tym pisać!

Rozmowa kończy się pozorną zgodą, wręcz happy endem. Staszek obiecuje redagować szkolną gazetkę.

CZĘŚĆ DRUGA

Nie jest to jednak wcale koniec tej historii! Okazuje się bowiem, że zarządzenie, na podstawie którego szkolna lekarka nie przyjmuje miejscowych uczniów,... nie istnieje!!! Wręcz przeciwnie – w Wytycznych MZiOS z dnia 4.VII.1975 r. § 16 jest powiedziane: **„Świadczenia w zakresie opieki zapobiegawczo-leczniczej w miejscu nauczania i wychowania zapewnią dzieciom, młodzieży i nauczycielom (...) poradnie szkolne – w szkołach stopnia ponadpodstawowego”.**

Lekarka K. obejmując pracę w liceum musiała, jak każdy, podpisać dokument zlecający jej opiekę lekarską nad młodzieżą liceum. W tym dokumencie czarno na białym wyłuszczono obowiązujące ją czynności. M.in. w pkt. 1: **„Kontrola stanu zdrowia uczniów, wydawanie orzeczeń lekarskich i przyjęcia ambulatoryjne.”**

A więc samowola? Nieprzestrzeganie przepisów? Po prostu w Rzeszowie tak bardzo brak lekarzy, że średnią ogólnopolską, 1 etat szkolnego lekarza dla 2 tys. uczniów, zmieniono na 1 etat dla 4 tys.! Wszyscy lekarze traktują godziny w szkole jako zło konieczne i gdy tylko mogą – wykręcają się od tego. W takiej skomplikowanej sytuacji kierownik Wojewódzkiej Poradni Medycyny Szkolnej, któremu podlegają szkolni lekarze, powiedział im na odprawie (podkreślam – nie jest to zarządzenie, ale sugestia): **„Leczcie chociaż uczniów zamiejscowych. Oni po powrocie ze szkoły mają znikome szanse na skorzystanie z wiejskich ośrodków zdrowia”.**

Ale z drugiej strony, radząc lekarzom, by się zajęli przede wszystkim zamiejscowymi, nie zakazał im leczenia pozostałych uczniów. Dlatego więc wywieszka o leczeniu wyłącznie uczniów dojeżdżających nie ma oparcia w żadnym zarządzeniu! Jest po prostu wynikiem sytuacji, którą stworzyło samo życie, niezbyt czasem liczące się z przepisami. Lecz jeśli do lekarza w szkole zgłosił się uczeń z Rzeszowa – lekarz nie ma prawa odesłać go do przychodni. Taka jest prawda!

* * *

Szkoda, że nie sięgnęli do przepisów dyrektor i zastępca, zanim „poprosili” Staszka o pisemne sprostowanie.

Jeszcze bardziej szkoda, że nie zainteresował się nimi sam Staszek. Przecież jako dziennikarz (a w takiej roli występował) miał obowiązek dowiedzieć się, dlaczego lekarz nie przyjmuje. Jeśli chciał, jak mówi napisać nareszcie „coś wielkiego” powinien z rozwagą przystąpić do pracy i dokładniej zbadać zagadnienie.

Staszek wybrał najłatwiejszą drogę. Opisał przejaskrawiając tak, by ośmieszyć.

Ubarwione szczegóły były pretekstem, by zarzucić mu pisanie nieprawdy.

Podstawowy problem gdzieś się zapodział...

ANNA PACIOREK

ŚWIAT NA CZTERECH KÓŁKACH

ZAPOROŻEC

ZAZ 968-968M

ZAPOROŻCE produkowane są w Związku Radzieckim w Zakładach Samochodowych „Komunar" w Zaporożu nad Dnieprem. Produkcję ich zapoczątkowano w roku 1960 od wytwarzania samochodów z nadwoziami przypominającymi FIATA-600. Wersja nadwoziowa ZAPOROŻCA ostatnio wytwarzana, została wprowadzona do seryjnej produkcji w roku 1967. Początkowo samochód ten posiadał silnik o pojemności 887 cm sześc. Aktualnie produkowany ZAPOROŻEC ZAZ-968 wyposażony został w zmodernizowany silnik o podwyższonej do 1197 cm sześc. pojemności.

Architektura nadwozia tego samochodu charakteryzuje się wyraźną linią podziału przebiegającą w połowie jego wysokości. Linia ta podkreślona została aluminiową listwą opasującą nadwozie wzdłuż całego obwodu.

Dwudrzwiowe nadwozie pojazdu mieści wewnątrz cztery osoby. Pomimo dwóch drzwi dostęp na tylne siedzenia jest bardzo wygodny. Sprzyja temu konstrukcja odchylanych w całości do przodu foteli kierowcy i jego pasażera.

Silnik samochodu umieszczony jest z tyłu, a napęd od niego przenoszony na tylne koła. Bagażnik zlokalizowano pod przednią maską.

Samochód w wersji 968 pokazany został na załączonym zdjęciu. Pod koniec 1977 roku zaprezentowana została nowa – zmodernizowana wersja ZAPOROŻCA oznaczona symbolem ZAZ 968 M. Wprowadzono w nim zmiany zarówno w konstrukcji nadwozia, podwozia, silnika jak i wyposażenia wnętrza.

Przestrzeń bagażowa w zmodernizowanym ZAPOROŻCU uległa znacznemu powiększeniu, między innymi przez głębsze przetłoczenie ściany przedniej, jak również poprzez przeniesienie koła zapasowego do przedziału silnikowego.

Konstrukcja przodu umożliwia kontrolowany zgniot podczas czołowego zderzenia. W ten sposób pochłania ona znaczną część energii zderzenia, która nie przenosi się już na inne elementy nadwozia, głównie zaś na kabinę pasażerów.

Wnętrze samochodu posiada bardziej bezpieczną deskę czołową pokrytą grubą warstwą tworzywa poliuretanowego. Fotele przednie wyposażone są w integralne zagłówki. Pasy bezpieczeństwa znajdują się zarówno na przednich jak i tylnych siedzeniach.

Przednia szyba wytwarzana przez laminowanie, wykonana jest z wielu cienkich warstw szkła i tworzywa sztucznego.

Znacznemu wyciszeniu uległa też jednostka napędowa – silnik ZAPOROŻCA, który jak w poprzednich modelach chłodzony jest również powietrzem, i posiada pojemność 1197 cm sześć. ZAZ 968 M wytwarzany jest z silnikiem o mocach 40, 45 i 50 KM uzyskanych poprzez stosowanie różnych stopni sprężenia.

Samochód z silnikiem w wersji o mocy 40 KM posiada przy wszystkich kołach hamulce bębnowe. Pozostałe wersje posiadają z przodu hamulce tarczowe z tyłu bębnowe.

ZAPOROŻEC z silnikiem o mocy 40 KM uzyskuje prędkość maksymalną 120 km/godz. Z silnikiem o mocy 50 KM – 130 km/ godz.

ZENON DUTKIEWICZ

JELONKU, JELONKU, POKAŻ ROGI

W starych pniach dębów żyje największy krajowy chrząszcz – jelonek rogacz. Jest on powszechnie znany z wystających do przodu wielkich żuwaczek, nazywanych popularnie rogami. Z tych samych zresztą przyczyn budzi on zainteresowanie zbieraczy-przyrodników. Niespotykane kształty u łatwo dającego się obserwować owada (dorosłe osiągają długość 5–6 cm, a z żuwaczkami około 8–9 cm., sześcioletnie larwy żyjące w zmurszałym pniu czy próchnie osiągają ponad 10 cm. długości) budziły zainteresowanie. Po co owadowi tak znacznie wystające elementy?

Ponieważ występują tylko u samców, popularnie sądzi się, przyrównując – jakby to miało sens – do większych zwierząt, że mogą one służyć do walki, obrony lub mogą mieć znaczenie odstraszające. Na potwierdzenie tego podawano fakt, iż zaobserwowano walczące owady, wyraźnie uderzające w siebie rogami. Inni twierdzą, że było to złudzenie. Samce atakują siebie, podobnie jak samice, bardzo krótkimi żuwaczkami innej pary. Te duże im tylko przeszkadzały i uniemożliwiały nawet spotkanie bezpośrednie. Jest nawet grupa badaczy, która sądzi, że jest to zwykła fantazja natury lub... przeciwwaga dla ciężkiego tułowia. Tymczasem rola ich jest zupełnie prozaiczna – rogi służą do przytrzymywania samicy w trakcie kopulacji.

A może to twierdzenie jest też błędne? I żuwaczki jelonka rogacza nie są zwykłym reliktem, ale spełniają ważną dla organizmu funkcję lub są np. wypustkami, na których umieszczone są receptory do odbierania bodźców ze środowiska? To już przed Wami – przyszłymi biologami, fizykami, chemikami stawiam ten problem...

Jamnik

Kwadratura koła?

Użycie tego zwrotu w mowie potocznej nie nawiązuje do zagadnień matematyki wyższej. Oznacza jedynie problem, którego nie można rozwiązać.

Dęby należą do drzew długo żyjących, ale mimo to, tych wiekowych pozostało niewiele. Niektóre osiągają wiek kilkuset czy nawet powyżej tysiąca lat jak świętokrzyski Bartek. Park w Rogalinie to cały zespół tych królewskich drzew. Pokazywane są turystom na równi z najwspanialszymi zabytkami architektonicznymi. Aby je obejrzeć przyjeżdżają ludzie z odległych stron kraju, a nawet z zagranicy. Nic więc dziwnego, że objęte są ścisłą ochroną i strzeżone przed zniszczeniem. Wszystko z myślą o następnych pokoleniach.

Jelonek rogacz, kozioróg dębosz i inne krajowe chrząszcze praktycznie są bliskie wyginięcia. Niszczyli je ludzie, chcący zdobyć wspaniały okaz do swojej kolekcji entomologicznej, niszczyli leśnicy, gdyż kilkunastocentymetrowe niekiedy nawet larwy, dla których dęby są siedliskiem, w ciągu kilku lat potrafiły zniszczyć najwspanialsze drzewo. Ale dla zachowania gatunku, zgodnie z ideą współczesnej ochrony przyrody nie wolno niszczyć tych owadów. Wszystko z myślą o następnych pokoleniach.

Wyobraźcie sobie, teraz, że te ściśle chronione owady zaatakowały (gdyż inaczej wyginą) pozostające pod równie ścisłą ochroną zabytkowe dęby rogalińskie czy Bartka. Jak należy w takiej sytuacji postąpić?

Jamnik
Fot. **M. Ostrowski**

FOTOGRAFIA PRZYRODNICZA (20)

DZIWY NATURY

Zdjęcie może zaciekawić z trzech powodów. Albo jest bardzo dobre treściowo, kompozycyjnie i technicznie, albo przedstawia zdarzenie czy obiekt, do którego oglądający czuje sentyment. Bądź z banalnego powodu – sensacyjności. Ten trzeci rodzaj należy do fotografii dokumentalnej. Dziś poświęcimy mu nieco więcej miejsca w aspekcie przyrodniczym.

Natura jest niezwykle bogata w barwy i formy. Różnorodność kształtów, choćby tylko zwierząt, jest wręcz nieprawdopodobna. Z niektórymi zjawiskami już się oswoiliśmy i nie dziwią nas np. pajęczyny, ale przeraża niespotykany u nas pająk wielkości ptaka. Nie zdziwi nas „dziób" ryby piły, ale gdybyście spotkali się z inną rybą, której w ciemnościach głębin oceanicznych świecą tylko ruszające się szczęki... Są to jednak zjawiska zadziwiające tylko nas jako ludzi, ale dla danego gatunku normalne.

Natomiast często pojawiają się „wybryki" natury. Źdźbło zboża o dwóch kłosach, dwugłowe cielę, drzewo, które nagle zazieleniło się jedno–jedyne w połowie grudnia, choć wokoło leżał śnieg, a rosnące obok drzewa tego samego gatunku trwały w zimowym odrętwieniu. Może to być motyl ze skrzydłami różnej wielkości, biały wróbel, zrośnięte drzewa różnych gatunków.

Zarejestrujcie te zjawiska. Część z nich spowodowana jest mutacjami (zmianami) w DNA chromosomów, zmianami które w ten sposób przejawiają się na zewnątrz. Niekiedy jednak może to być przejaw szkodliwego wpływu środowiska (zanieczyszczenie atmosfery, podziemne pęknięcie rury, rozpylenie związków chemicznych). Szkodliwego, ponieważ organizmy takie są bardzo szybko eliminowane ze środowiska przez dobór naturalny.

Wtedy właśnie, jako wartościowy dokument zdarzenia przyrodniczego, pozostanie wasze zdjęcie. Sądzę też, że po tym wyjaśnieniu będziecie zwracali mniejszą uwagę na sensacyjną wartość zdjęcia, a bardziej na dokumentalną.

Zdjęcie przedstawia kaczkę z trzema nogami z Cieplic.

Tekst i zdjęcia
MAREK OSTROWSKI

Małgorzata Franiak, ul. Boh. Monte Cassino 4/5, 32-602 Oświęcim hoduje 3 papugi – samicę i dwa samce. Czytelniczka nie wie dokładnie, czym je karmić, z samców pojawiły się na nogach – jak pisze – „skorupy", które z czasem przeniosły się na dziób i pod oczy. Właścicielka boi się, że to jakaś zakaźna choroba i prosi nas o radę.

Zwróciliśmy się w tej sprawie do specjalisty z Ogrodu Zoologicznego w Warszawie, którego zdaniem należy jak najszybciej odizolować chorego ptaka od pozostałych, a następnie klatkę, w której będą dalej trzymane osobniki zdrowe, odkazić przez wyparzenie we wrzącej wodzie. W celu uzyskania dalszych rad, Małgosia powinna szybko zwrócić się do najbliższej lecznicy miejskiej dla zwierząt. Lekarz weterynarii nie mógł udzielić bliższych rad na temat karmienia, bowiem nasza korespondentka nie podała gatunku papug, które hoduje, a każdy gatunek wymaga nieco innego pokarmu. Stąd uwaga do wszystkich piszących: w podobnych przypadkach podawajcie jak najwięcej danych, gdyż tylko wtedy będziemy mogli radzić Wam skutecznie!

* * *

Sławek Gugała, ul. Śniardwy 8 m 6, 02-695 Warszawa chce wraz z kolegami budować skrzynki lęgowe, ale nie wie, jak zdobyć materiał. Kto doradzi?

* * *

Tomek Buczyński, Orłowicza 6 m 1, 00-414 Warszawa miał kłopot z rozpoznaniem „dziwnego ptaka". Rozmiarami przypominał kosa i tak jak kos skakał. Skrzydła i łączącą je część grzbietu miał brązowe, nasadę ogona, szyję i tył głowy – szare, ciemny ogon, jasne podbrzusze i plamkowane podgardle. Sądząc z opisu Tomka – był to kwiczoł.

* * *

O „kieszonkowym" piesku marzy Renata Krawiec, ul. Nowa 9, 23-333 Sławków – Dąbrowa Górnicza. Niestety, nasza Czytelniczka nie wie, jak się ta filigranowa rasa psów nazywa. Domyślamy się, że chodzi jej o ratlerka, ale pewności nie mamy, bo przecież ras charakteryzujących się małymi rozmiarami jest więcej. Przedstawicielka Związku Kynologicznego w Polsce, do której się zwróciliśmy, zachęca Renatę, by zwróciła się do najbliższego, czyli w tym wypadku Śląskiego Oddziału Związku Kynologicznego. Adres: ul. Kościuszki 42, 40-048 Katowice, tel. 51-67-80, codziennie oprócz sobót w godz. 14–19 . Na miejscu można obejrzeć zdjęcia. Związek Kynologiczny radzi też za naszym pośrednictwem wszystkim Czytelnikom mającym podobne, jak Renata wątpliwości, by częściej oglądali wystawy psów rasowych.

* * *

Uwaga, Wiesław Grzeszuk z Wałbrzycha! „Przyrodę Polską" możesz kupić w kiosku „Ruchu" lub zaprenumerować na tych samych zasadach, co „Świat Młodych". Badacze gadów to herpetolodzy, zaś ssaków – teriolodzy.

* * *

Grzegorz Dobyszek, Seredyńskiego 7a/9, 20-253 Gdańsk, spotkał nieznany mu gatunek motyla, którego rysunek załącza. Kto potrafi gatunek ten rozpoznać, proszony jest o napisanie do Grzegorza.

Uwaga! Kącik „Bliżej przyrody" chętnie pomaga obserwatorom i hodowcom, natomiast nie popiera działalności polegającej na chwytaniu i uśmiercaniu zwierząt w celach kolekcjonerskich czy jakichkolwiek innych. Dlatego też nie udzielamy porad, dotyczących kolekcjonowania motyli.

LISTONOSZ TOMEK

Miła Kropko, proszę o wyjaśnienie następujących problemów: 1) Jak odmieniać przez przypadki rzeczownik Chile? 2) Jak należy określać mieszkańców Leningradu: Leningrodzianie czy Leningradczycy? 3) Często mówi się: ,,przerabiam 8 godzin dziennie". Czy nie powinno być ,,przepracowuję"? 4) Jaka jest prawidłowa nazwa radzieckiego miasta – Erewan czy Erewań i w związku z tym jakiego rodzaju jest to miasto?

Marek

1) W ogóle nie odmieniać, to rzeczownik nieodmienny. 2) Mieszkaniec Leningradu to **leningradczyk**, mieszkanka – **leningradka**, a oboje są **leningradczykami**, ale piszemy ich małą literą, tak jak wszystkie nazwy mieszkańców miast. 3) Raczej: **przepracowuję**. 4) **Erewan** albo (bardziej popularnie) **Erywań**. Byłam w **Erewanie** lub **w Erywaniu**. Nazwa tego miasta jest rodzaju męskiego.

Już od paru tygodni nurtuje mnie pytanie, jak się mówi: otworzyła czy otwarła? W niektórych książkach jest np.: ,,Mama otwarła drzwi", a znowu w innych: ,,Mama otworzyła drzwi".

Małgosia z Gdańska

Częściej mówimy **otworzyła**, lecz **otwarła-otwarł** też poprawnie.

Mam do Ciebie kilka pytań. 1) Jak akcentować słowo ,,opera"? Słyszałam i z akcentem na ,,o", i na ,,e". 2) Jaki jest narzędnik słowa ,,tato"? 3) Jak się powinno wymawiać nazwisko Pickwick (,,Klub Pickwicka") – w oryginalnej angielskiej wersji czy w spolszczonej? A jak Don Kichot? 4) Kiedy dopełniacz i biernik rzeczowników rodzaju męskiego, jak tapczan, notes, stół, magnetofon itp. ma końcówkę ,,u", a kiedy ,,a"?

Karolina z Wrocławia

1) Akcentować ,,o". 2) **Tatem**, bo rzecz. **tato** odmieniamy jak np. palto. 3) Słyszę co prawda od czasu do czasu, jak różni ludzie mówią ,,Pikfik", ale opowiadam się za wersją oryginalną (w przybliżeniu Pykłyk). Przyjęła się u nas wymowa i nawet pisownia **Donkiszot**. Powstał też rzeczownik pospolity **donkiszot** – oznaczający człowieka szlachetnego, acz nie liczącego się z rzeczywistością. 4) W rzeczownikach tego typu bardziej powszechna jest końcówka – u i dlatego w razie wątpliwości właśnie ją wybieraj.

Wasza KROPKA

Autorką tego portretu Rzepinki jest Justyna Beinek.

Redaguje Włodzimierz Lewiński

Cześć!

Pomoc–Przyjaciołom! Oto wyjątki z listów w tej ważnej sprawie:

...Czarusia przyniosła mi koleżanka. Był zapchlony, chudy i głodny. Teraz jest już dorosłym kotem, przywiązanym do nas na zawsze...

...Nie mogę spokojnie słuchać o tym, że ktoś bije psa, że utopiono kocięta, że ktoś wyrzucił z domu swego czworonożnego przyjaciela. Chętnie przygarnęłabym wszystkie bezdomne zwierzaki...

...Gacek wpadł przed naszym domem pod samochód. Wzięłyśmy go z moją mamą do domu i wyleczyłyśmy...

...Mój pies nazywa się Baca, a kot – Mruczek. Bacy zrobiłem ocieplaną budę. Pomagam też ptakom w zimie...

...Jesteśmy drużyną harcerską. Zbudowaliśmy karmniki dla ptaków, dokarmiamy też drobną zwierzynę leśną...

...Znalazłem bezdomnego kotka. Nazwałem go Świetlik, bo jego oczy świecą w ciemności jak dwa świetliki...

Akcja ,,Pomoc–Przyjaciołom" trwa!

Czas pomyśleć o ochronie gniazd ptasich, o kocich i psich maluchach. Przyjmuję do sekcji ,,P–P" **Anię Wojciechowską, Agnieszkę Walicką, Grzegorza Górnickiego, Piotrka Henniga.**

* * *

,,Słówka rysowane" nadesłali: **Piotrek Skikiewicz, Bogdan Zakrzewski i Mietek Kozieł.**

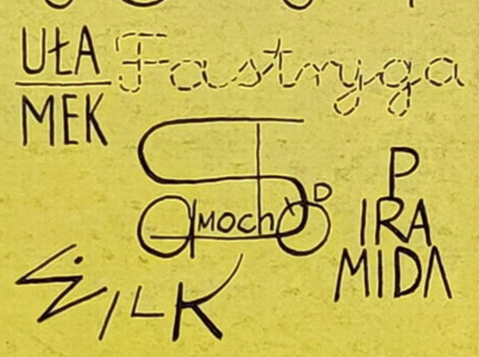

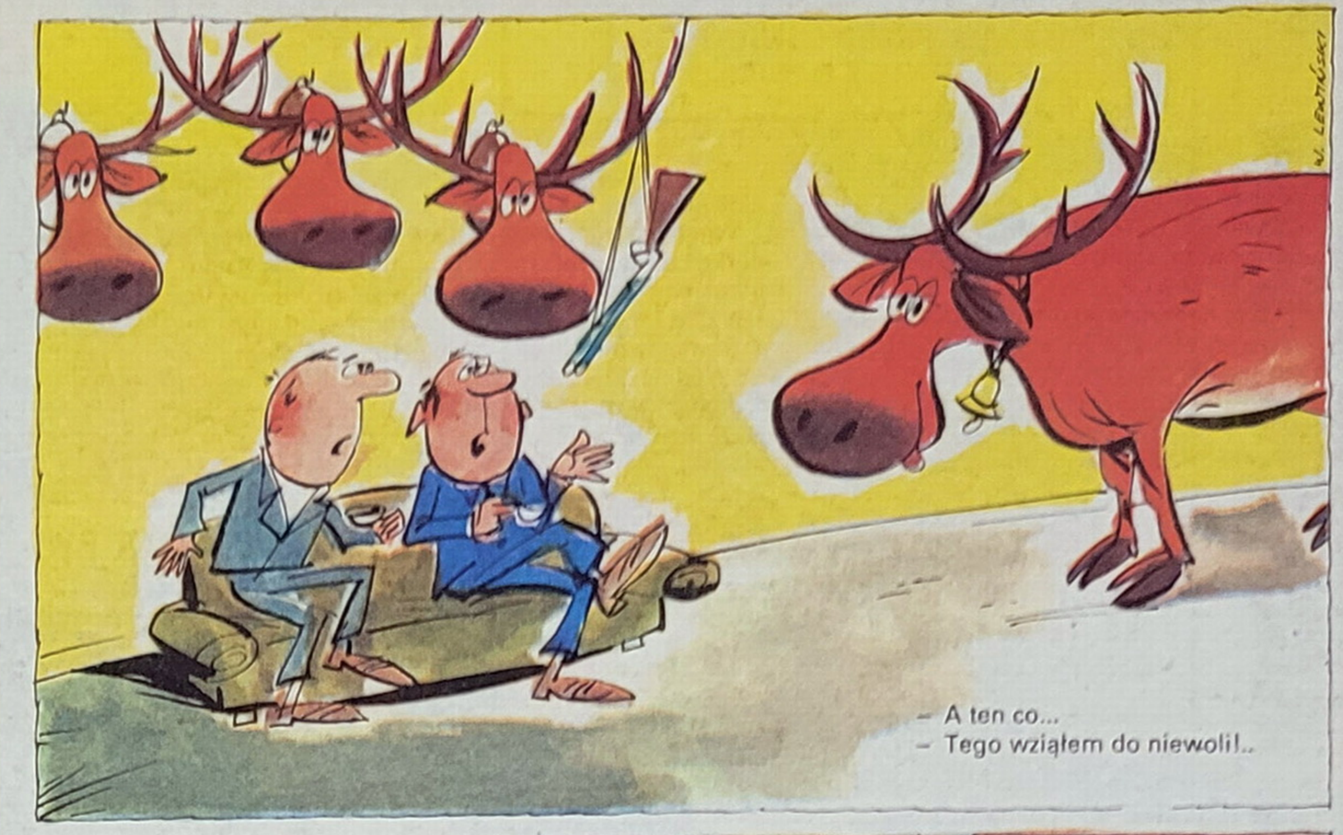

RZEPKLUB

Przyjmuję dziś do klubu dwóch ,,szperaczy": Mariusza Adamskiego i Maćka Matuszewskiego. Oto nadesłane przez nich żarty rysunkowe.

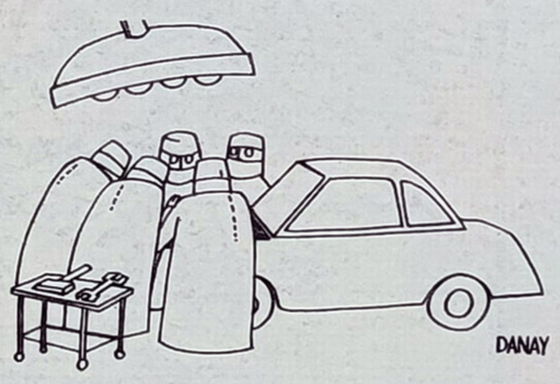

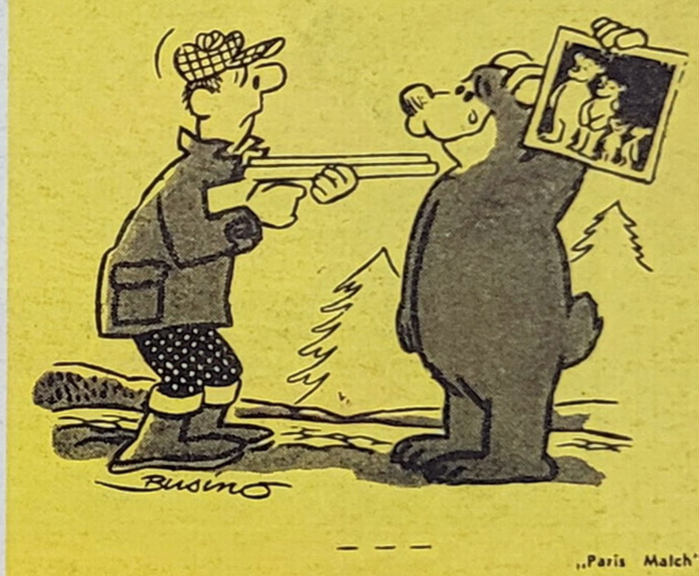

– To nie pan wysłał ten telegram? – dziewczyna aż przysiadła na drugiej ławce – W takim razie powinien pan natychmiast zadzwonić do Warszawy, do pani Księżyc i wyjaśnić całą sprawę. Jak pan sądzi, czy tego głupiego kawału nie zrobił nam ktoś z ,,Notosa"? Bo komu innemu może zależeć na tym, aby utrudnić nasze poszukiwania?

Przecząco pokręciłem głową.

– Nie posądzam o to nikogo z ,,Notosa". Ale przecież mówiłem wam wiele razy, że mamy nie tylko konkurentów ale i przeciwników. Od samego początku ktoś nam psuje szyki.

Poczułem przypływ energii, jak zwykle, gdy wyłaniała się poważniejsza trudność.

– Obudź tę dziewczynę w kabinie – rozkazałem Kice – Zróbcie śniadanie, bo na pewno jesteś głodna. A ja ogolę się i zaraz pobiegnę na pocztę.

Kika otworzyła drzwi kabiny i gwizdnęła głośno.

– Czy pan ciągle śni, panie Samochodzik? – zapytała z ironią. – Przecież tu nie ma żadnej dziewczyny.

– Nie ma Bajeczki? – zdumiałem się.

– Jakiej bajeczki? – zapytała.

– No, Bajeczki – wsadziłem głowę do kabiny i stwierdziłem, że koja, na której wczoraj położyła się tamta dziewczyna, jest pusta. Zniknęła także walizka, z którą Bajeczka przyszła na jacht.

– Co pan opowiada jakieś bajeczki? – Kika patrzyła na mnie, jak patrzy się na kogoś, kto stracił rozum.

– Prosiła, żeby ją nazywać Bajeczka – bezradnie rozłożyłem ręce i miałem chyba bardzo głupią minę – Była bardzo ładna, w haftowanej bluzce i w spódnicy w duże słoneczniki. Spóźniła się na motorówkę, którą chciała dostać się na Wielką Żuławę. Poprosiła, żebym ją przenocował na jachcie. Zjedliśmy razem kolację, potem trochę rozmawialiśmy o poezji...

– O ,,Złotej rękawicy" – pokiwała głową Kika – I pan dał się pociągnąć za język, prawda? Wyjawił pan, w jakim celu odbywamy rejs i tym podobne.

– Tak, ale...

– Nie ma żadnego ,,ale". Ta dziewczyna została przez kogoś wysłana i zrobiła pana ,,w konia".

– Proszę cię, przestań używać tego okropnego żargonu – poprosiłem.

– Powiem krótko: dał się pan nabrać na Bajeczkę, panie Samochodzik. Wszyscy wiedzą, że lubi pan dziewczyny w powiewnych kolorowych spódnicach i haftowanych bluzeczkach. I ona właśnie tak wyglądała, prawda?

– Tak – westchnąłem.

To mówiąc Kika wsunęła się do kabiny i zdjęła coś z koi, na której spała Bajeczka.

– Proszę... podała mi to ,,coś" z tryumfującą miną.

Była to skórzana rękawica, pomalowana na złoty kolor.

– Złota rękawica... – mruknąłem.

– A tak, złota rękawica. A raczej rękawiczka pomalowana na złoty kolor. Czy rozumie pan coś z tego?

Nie od razu odpowiedziałem na jej pytanie. Najpierw opowiedziałem Kice ze szczegółami o wizycie Bajeczki, o naszej rozmowie na jachcie, o jej pytaniach i moich odpowiedziach. I zakończyłem:

– Nie zdradziłem Bajeczce żadnych tajemnic, bo nie jest tajemnicą, że organizujemy rejs, aby odnaleźć autora ,,Złotej rękawicy". Wiele osób wie o naszej sprawie, jak choćby załoga ,,Notosa". Ktoś zdecydował się opóźnić nasz rejs, i wykorzystując opóźnienie, przysłał tu Bajeczkę. Ona pozostawiła na jachcie pomalowaną na złoty kolor rękawiczkę. Innymi słowy rzucono mi jawnie wyzwanie do walki, bo tylko tak rozumieć należy ten gest. Rzucenie przeciwnikowi rękawicy jest oznaką wypowiedzenia walki.

Kika wzruszyła ramionami.

– Przecież od samego początku mamy do czynienia z przeciwnikami i bez przerwy toczymy z nimi walkę. Dlaczego akurat teraz, w tej chwili, rzucili nam rękawicę?

– Nie mam pojęcia – mruknąłem.

Cdn.

LEOKADII

SPORTOWE ŻYCIE

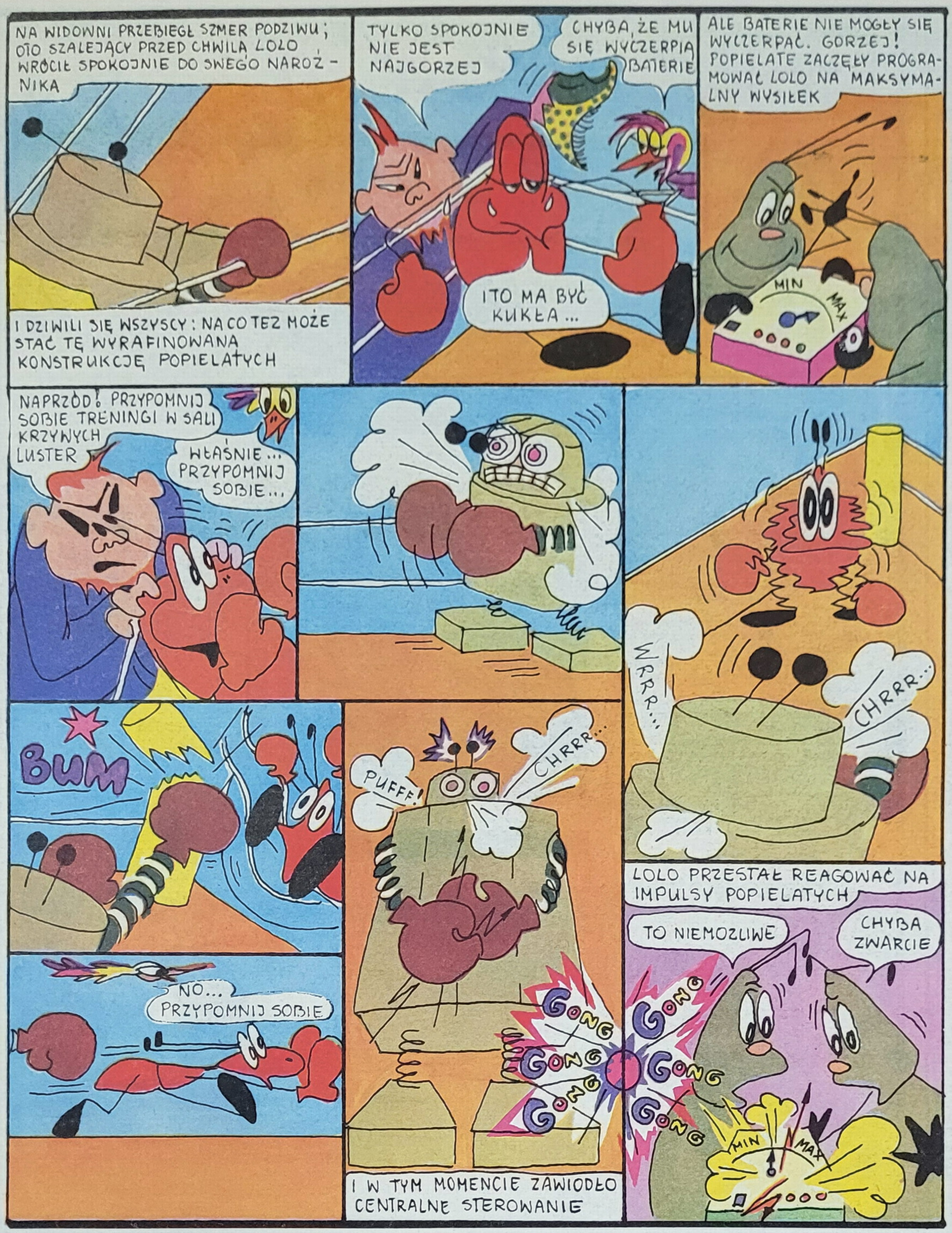

W.K. Wij
Rys. Ewa Przyjemska

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: ul. 3 Maja 7, 40-096 Katowice (tel. 599-230, telex 0315327).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Karnińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	21-81-13
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przejmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.

Opracowanie graficzne
Mieczysław Teodorczyk

Redakcja techniczna
Małgorzata Kula

DRUK: Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego", Warszawa

Nr zam. 2077/G **S-18**

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

Zbigniew Nienacki

PAN SAMOCHODZIK i ZŁOTA RĘKAWICA

3

Rozłożyłem materac na drewnianej ławie, rzuciłem na nią śpiwór i wśliznąłem się w niego. Nad głową miałem żagiel zwinięty na bomie, który leżał na dwunośnym, podobnym do cyrkla, wsporniku. A wyżej było niebo pełne gwiazd.

Noc zapadła ciepła, ale męczył mnie hałas. Na pobliskiej ulicy ciągle jeździły samochody, a od strony restauracji „Czapla" dochodził mnie nieustanny gwar głosów i śpiewy. Na jeziorze mimo późnej pory warczały głośno ślizgacze. I to mdłe, trupie światło jarzeniówek, odbijających się w czarnej toni.

W uszy wsadziłem sobie woskowe kulki, aby odgrodzić się od hałasu. I chyba zaraz zasnąłem, przez chwilę tylko rozmyślając o dziewczynie, która kazała nazywać się Bajeczką.

Obudziłem się o piątej rano, słońce świeciło mi prosto w twarz. Jachtem kołysało, ktoś wszedł na pokład dziobowy.

Zerwałem się z posłania i zobaczyłem Kikę.

– Ładnie nas pan urządził, panie Tomaszu – powiedziała z pretensją w głosie, tupiąc gumiakami po sklejce pokładu.

– Pssst – syknąłem, wskazując na drzwi kabiny. – Tam jest pewna dziewczyna. Śpi. Jeszcze za wcześnie żeby ją obudzić.

Ale Kika nie myślała zachowywać się cicho. Wiadomość o dziewczynie, która śpi w kabinie, powiększyła jej pretensje.

– Mogłam się była tego domyśleć – oświadczyła z goryczą – Kompletuje pan sobie nową załogę, a z nas pan zrezygnował.

– Nie gadaj głupstw – rzekłem. – Ta dziewczyna nie ma z naszą sprawą nic wspólnego. Wczorajszy dzień straciłem czekając na was tutaj, w tym okropnym miejscu. A wy nie raczyliście się zjawić.

Kika ze złością rzuciła plecak na podłogę jachtu. Była osóbką bardzo młodą, ale energiczną i samodzielną. A także przekorną. Wiedziała na przykład, że nie lubię dżinsów, ale ubrała stare, połatane dżinsy i gruby czarny sweter. Na jasnych krótko przyciętych włosach miała czapkę z teksasu. Była ładna, ale ten strój sprawiał, że wydawała się brzydka.

– Co też pan opowiada – spojrzała na mnie wyzywająco, ujmując się pod boki. – Przysłał pan do nas telegramy, że odwołuje pan rejs i przesuwa go na późniejszy termin. Pan Księżyc i Psycholog rozpakowali plecaki, ale ja miałam już wykupiony bilet do Iławy i zdecydowałam się wyjechać. Pomyślałam, że jeśli nie spotkam pana, to zabiorę się na „Notosa", bo on już od dwóch dni żegluje po Jezioraku.

– Telegram? Nie wysłałem żadnego telegramu. O czym ty mówisz, Kika? – nareszcie wylazłem ze śpiwora, ale w pidżamie, z nieogoloną twarzą czułem się nieswojo. Byłem zaspany i trochę nieprzytomny.

– Niech pan wyjmie kulkę woskową z lewego ucha – zwróciła mi uwagę. – Coś mi się zdaje, że moje słowa do pana nie docierają. Wysłał pan do nas telegram, że rejs przesuwa pan na późniejszy termin. Słyszy pan, co powiedziałam?

– Słyszę. Ale nie wysyłałem żadnego telegramu.

Z kieszeni spodni wyjęła kartkę i podała mi ją bez słowa.

Przeczytałem:

„Rejs przesuwam o kilka dni. Nie przyjeżdżajcie. Czekajcie na wiadomość. Tomasz".

Zmiąłem telegram i rzuciłem go na dno kokpitu, ale po sekundzie podniosłem go, rozprostowałem i jeszcze raz przeczytałem.

– To nie ja go wysłałem – oświadczyłem – Ale nadany został z Iławy przedwczoraj wieczorem, to jest w tym samym czasie, gdy i ja tutaj przypłynąłem i przycumowałem. Ktoś chciał nam pomieszać szyki i opóźnić rejs.

Dokończenie na str. 7